Nr. 12 (1265). Warszawa, 19 Marca (1 Kwietnia) 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Najwyższy Reskrypt.

na imię Generał-Gubernatora warszawskiego Generał-Adjutanta Maksimowicza.

Konstanty, synu Klaudyusza.

Naturalny bieg życia, w ostatnich 40-tu latach, które upłynęły od czasu gruntownego przekształcenia bytu społecznego w kraju Nadwiślańskim, wysunął na porządek dzienny niemało ważnych potrzeb miejscowych, stanowiących obecnie przedmiot szczególnej troskliwości rządu.

Niestety, występne usiłowania wrogów porządku prawnego próbują wprowadzić zamieszki do spokojnego środowiska ludności polskiej, komplikując przez to spokojne rozważenie dojrzałych potrzeb.

Jednocześnie niektóre koła społeczeństwa polskiego, bez obmyślenia i w nieprawnych objawach, wykazują nadmierne żądania co do granic języka państwowego, któremu we wszystkich częściach różnoplemiennego Cesarstwa Rosyjskiego powinno być zapewnione należne, wysokie znaczenie, bez zbytecznego atoli i niesprawiedliwego ograniczenia języków miejscowych.

Powierzywszy Panu najbliższe, według Moich wskazówek, kierownictwo spraw kraju Nadwiślańskiego, uważam za dobre, abyś Pan, obok prawnego i stanowczego stłumienia stucznie podtrzymywanych zamieszek, przystąpił do opracowania tych przekształceń w ustroju miejscowym, które będą uznane za nieodzowne do dalszego rozkwitu tego zawsze sercu Memu bliskiego kraju, w nierozerwalnem jego zjednoczeniu z pozostałemi częściami Monarchii rosyjskiej.

Pozostaję niezmiennie dla Pana życzliwym.

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

MIKOŁAJ.

Dan w Carskim Siole
14 marca 1905 r.

(Telegram Agencyi Petersburskiej).

POLITYKA

„Sól ziemi".

W sędziwej Bremie, pełnej wspomnień z dni świetnych, które przeżyła, cesarz Fryderyk, nieszczęśliwy studniowy męczennik, doczekał się pomnika. Przywiązany syn nie mógł uroczystości pominąć. Umyślnie ją przyśpieszono, aby mógł nie opóźniać już i tak przez influenzę opóźnionej wycieczki na błękitne Morze Ludów. Pojechał do Bremy, aby pamięć ojca uczcić i osobą swoją i mową. Jedna i druga zrobiły swoje: złożyły się na szumną manifestacyę patryotyzmu i — pokoju. Takie wrażenie odniosło dziennikarstwo nietylko niemieckie, zostające pod komendą wspólnej ambicyi, ale nawet angielskie, pilnujące przecież we wszystkiem prochu angielskiego, aby nie zamokł. A jednak mowa wcale nie świadczy o tem, co w niej więksi i mniejsi publicyści i gadacze upatrują: przeciwnie, mowa, będąc patryotyczną, bynajmniej nie jest pokojową. Cesarz Wilhelm, wlewając zwolna Niemcy do kadzi pruskiej, czyni to z tak silnem, a ustawicznem dążeniem do osobistej lub dynastycznej wielkości, że nawet wtedy, kiedy mówi o pokoju, rzeczywiście albo chce wojny, albo wojnę wyzywa. Bramy wojenne są jedynemi, któremi do wielkości dojść może.

Nowy objaw krasomówczy niestrudzonego Demostenesa na tronie, pozującego w piękny posąg wobec potomności, do dziejów tej pychy, w której osobistość jego się pławi, dostarcza cennego przyczynku. Cesarz odrzuca logikę zwykłych śmiertelników, aby swoją własną wzbić się nad ich poziom. Każda jego przesłanka przypomina wątłą nitkę, u którejby zawiesić chciano dużą ciężką kulę. Kiedy cesarz ongi w Hamburgu w młodzieniaszkowych czy dziecinnych jeszcze leciech oglądał obraz ostatniego okrętu floty niemieckiej, sprzedanego przez licytacyę, myśl jego nie przenosi go na te czynniki dziejowe, które taką hańbę sprowadziły, ale go przerzuca do krwi matki, krwi morskiej Anglików, którą w sobie samym odczuwa, i dopiero takie odczucie daje mu poznanie obowiązków państwowych na morzu, z chwilą odziedziczenia władzy. Z morza przerzuca się nagle na ląd, gdzie widzi piękny ogród, a w ogrodzie piękny dom niemiecki. Nie wchodzi jednak do miłego ustronia, tylko każe ostrzyć bagnety i nabijać działa, aby Niemiec mógł i ogród i dom wykończyć spokojnie, trzymając wroga zdala od siebie. Ale przytem zapewnia, mówca dostojny, że działom i bagnetom postanowił dać wypoczynek. Był już wtedy cesarzem.

Do władzy przyszedł już z marzeniem o monarchii uniwersalnej. Ale to była tylko pokusa: odepchnął ją od siebie, doświadczeniem wieków, świadectwami historyi nauczony, że takie monarchie jak cień przemijają. Gdyby nie to! Ale mądrość dała wędzidło. Jeżeli już marzyć o czemś uniwersalnem a niemieckiem, to o takiem państwie, któreby dla wszystkich było dobrym sąsiadem i we wszystkich zaufanie wzbudzało, że nikomu nie zaszkodzi. Przy takiem ukształtowaniu ideału powszechne panowanie Hohenzollernów, niemieckie państwo wszechświatowe — nie byłyby wcale zdrożnością, a jakkolwiek cesarz nie mówi, że tak pojętego i urzeczywistnionego uniwersalizmu pragnął, widać jednak z same-

go przypuszczenia jego możliwości, że wielkość państwa rozpierającego się w świat nawiedzała go częściej, niż powściągliwość państwa, które nie chce nikomu szkodzić. Dostojny mówca ani na chwilę nie wątpi, że obie się pogodzą, że można być i uniwersalnym i nikomu nie szkodzić. Z każdym więc nowym okrętem niemieckim przybywa światu nowa rękojmia pokoju. Innemi słowy: pokój świata od Niemiec zależy, ale od Niemiec silnych, strzegących dobrze pięknego ogrodu i pięknego niemieckiego domu. Rozrzewniająca skromność, rozczulająca chęć nieszkodzenia nikomu!

Znalazła się i rada zdrowa dla przyszłych pokoleń, gdy obecne tyle ma niezaspokojonych potrzeb, tyle lekceważonych przez samych Hohenzollernów żądań—a przedewszystkiem obywać się musi bez rzeczywistej wolności w ustroju politycznym i w administracyi państwa pruskiego. Ale Wilhelm II lubi wpatrywać się w przyszłość: w pozie proroka łatwiej i jemu samemu być wielkim, i Niemców wielkością obdarzać. Prorocze jego oko daje umysłowi prorocze też widzenia. „Bóg nie zadałby sobie tyłu trudów z Niemcami, gdyby ich nie był przeznaczył do rzeczy wielkich". To zwierzenie się cesarskie ma wagę. Wielkie przeznaczenie spełniać się może, rzecz prosta, tylko w coraz większym uniwersalizmie i coraz też większej, świat przygniatającej pysze. Dziś już w tej Bremie nie waha się Wilhelm II powiedzieć, że Niemcy są „solą ziemi". Zostawiając Biblie nowemu tumowi w Berlinie, w wyrażeniu tem widzieć możemy tylko wyniosłość, depcącą po wszystkich, którzy Niemcami nie są. Bez treści, mdłe i czcze już potem są zwroty do młodzieży, której największym przymiotem ma być *semper talis*—z chełmów gwardyi pruskiej, bo cesarz zawsze zawraca do żołnierza i wojny. Nic też nie waży życzenie złotego pokoju, przychodzące nagle po owych bagnetach i działach, czuwających nad rozkosznym ogródkiem. Niebezpieczna dla świata żądza wielkości bezdennej, głód na cudze ziemie, tkwiący w samem pojęciu uniwersalizmu — tem niebezpieczniejszy im głębiej w naturę militarną państwa pruskiego wrosły: taki jest duch mowy bremeńskiej, dającej światu nowe rękojmie pokoju, nie gorsze od zaostrzonych bagnetów i dział nabitych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Oba wojska posuwają się traktem mandaryńskim północnym ku Charbinowi. Rosyanie pozostawili znacznie w tyle Japończyków, stan ich bowiem taktyczny narzuca im jaknajwiększy pośpiech, przynajmniej do Sungary (stacya Tao-tai-czao), nad której brzegami mogą znaleźć jakąś ostoję i choćby niewielkie posiłki, jeżeli tylko ścigająca ich armia pozwoli gen. Liniewiczowi dotrzeć tak daleko. Bardzo być może, iż Japończycy, jak to donoszą niepewne telegramy o Kurokim, posuwają się jeszcze i traktem mandaryńskim wschodnio-północnym, ku Kirynowi; mogli nawet wejść nań zaraz po zajęciu Kai-ju-jangu (przed 20 b. m.) a wtedy do końca marca przebieżona droga stałaby się już tak znaczną, że cel na niej byłby prawie osiągniętym. Prawdopodobnie jednak już około 26—27 marca przystanęli w Hsi-tun-Czan, gdy jednocześnie straże przednie rosyjskie stawały w Kun-czu-lingu (ros. Gunżulin), o jakie 40—45 klm. na zachód. Topograficzne ustosunkowanie obu tych miejscowości pozwala się domyślać zamiaru zaskoczenia wojsk rosyjskich od północy i wschodu, odpowiadającego na tej samej wysokości równoleżnikowej ruchowi Nogiego i Oku, w celu oskrzydlenia od zachodu. Zajęcie Kiryna na południu Sungary zabezpieczy ruchy Japończyków na północ i da podstawę pewną ich strategii na drugim, prawym, brzegu rzeki. Mając tu szeroką drogę aż do Tao-tai-czao, mogą z niej skorzystać dla dokonania manewru, któregoby wcześniej spełnić nie zdołali.

Depesze z wielu stron, pozbawione wszakże należytej powagi, wciąż donoszą o wyruszeniu (20—23 z. m.) adm. Rożestwienskiego na północo-wschód. Ponieważ adm. Niebogatow d. 26 z. m. był w Port-Saidzie, można więc przypuszczać, że najpóźniej w początku kwietnia przystanie w Dżybutil (-tti) u wyjścia z Morza Czerwonego; poczem około 5—6 t. m. mógłby się połączyć z głównym oddziałem floty. O eskadrze japońskiej, widzianej w Singapore, żadnej niema wiadomości. Obie strony, oczywiście, starają się utaić swe ruchy; nad obiema rozpościera się mgła niewiedzy, z której nietrudno było wynurzyć się pogłosce o stoczonym już boju. Prawdopodobieństwo pierwszego starcia większe jest wciąż dla wód Sundzkich i Cieśniny Malakka, niż dla Oceanu Indyjskiego bliższego Afryki.

Po roztajaniu lodów w kwietniu przewidywane oblężenie Władywostoku stanie się już rzeczywistym faktem.

Wszystkie te przewidywania wypadków wojennych zostają na łasce idei pokoju. Mimo aktów przeczących jej, mimo zaprzeczeń. Zwykłe używanych w podobnych wypadkach dla osłonienia istotnych zamiarów, zdaje się, że idea ta zaczyna już przenikać tam, gdzie przedewszystkiem istnienie jej stwierdzić potrzeba, aby można było poważnie mówić o zasadniczem uznaniu zaprzestania wojny za konieczność. Rządowi francuskiemu dostała się tu rola pośrednika, narzucana przez przymierze. Zdaje się, że Francyę też ma na myśli telegram zapewniający, iż w Tokio na życzenie jednego z mocarstw układają punkta do układów. Teraz już największą trudność stanowi kontrybucya, oznaczana jakoby na 100 mil. f. st. odmawiana przez Rosyę. Przewidywana stale na tem miejscu interwencya wielkich mocarstw neutralnych znajduje dla siebie zapowiedź w doniesieniu, że mocarstwa te dla „ułatwienia pokoju" mają ułożyć między sobą jego warunki—oczywiście w porozumieniu z Rosyą dla powściągnienia Japonii.

W Europie burzy się Bulgarya, mimo pozornych środków, powściągających powstanie w Macedonii, burzy Kreta, pragnąca połączenia z ojczyzną grecką, burzy cesarz Wilhelm, myślący o interesach handlu niemieckiego w Marokko. W Macedonii Bulgarowie na kwiecień urządzili powstanie w wielkim stylu. Kreta ustanowiła już rząd tymczasowy i wydała manifest zapowiadający wyjście z utrwalającej się tymczasowości pod ks. Jerzym, na co mocarstwa odpowiadają przysłaniem statków wojennych i wojsk wzmacniających załogi. Podróż ces. Wilhelma na południe, doprowadzona d. 27 z. m. do Lizbony, ma wbrew Francyi przez osobistą bytność w Tangerze dać rozpęd polityce handlowej, za którą pójdzie niezawodnie i polityczna. Pan Delcasse w tym tak ważnym objawie bezinteresowności Hohenzollernów,—pragnących panowania nad światem tylko miłością pokoju, zajmuje stanowisko arcy-marne; i o publisystyce też powiedzieć potrzeba, że nie stanęła na wysokości odporu należnego takiemu wdzieraniu się pysznego władcy w obręb wyłącznych wpływów francuskich i francusko-hiszpańskich. Przed wyjazdem swoim cesarz w Bremie d. 22 b. m. wystąpił jako mówca na temat floty i cnoty niemieckiej i absolutnej wyższości Niemców nad inne narody. Skromność nie jest cnotą niemiecką.

We Włoszech dla formalności wymaganej przez parlamentaryzm wytworzył na parę dni gabinet Tittoni i oddał go napowrót powoła-

L. Andrejew.

„Niema przebaczenia."

Opowiadanie.

(Ciąg dalszy).

Staje przed kilkupiętrową kamienicą i patrzy na nią z jakiemś przykrem zdziwieniem.

„Co za niemiły dom! Ach, tak, to ten sam".

Oddala się spiesznie, jak od bomby dynamitowej, staje i namyśla się.

„Najlepiej będzie napisać. Nazwiska swego, naturalnie, nie wymienię. Napiszę wprost: „Człowiek, którego pani wzięła za szpiega... Wyłożę wszystko po kolei. Było to tak i tak. Jeżeli mi nie uwierzy — jest zupełną gęsią".

Kręcił się przy głównem wejściu, dotykał zimnej klamki, wreszcie otworzył z wysiłkiem ciężkie drzwi i wszedł do przedsionka z pewną i surową miną. Z pod schodów wyjrzała pełna usłużności twarz odźwiernego.

„Słuchaj, przyjacielu, niedawno weszła tu panienka, kursistka... pod który numer się udała?"

„A po co to panu?"

Mitrofan Wasilewicz błysnął szkłami w milczeniu, odźwierny zrozumiał: kiwnął głową w szczególny sposób i wyciągnął rękę do uścisku.

„Cham," pomyślał z nienawiścią Mitrofan Wasilewicz, ściskając silnie podaną sobie dłoń prostą i twardą, jak deska.

„Chodźmy do mnie," zaprosił odźwierny.

„Po co... potrzeba mi tylko..."

Lecz tamten zawrócił już ku swej kryjówce i Mitrofan Wasilewicz, zgrzytając zębami, podążył pokornie za nim, „Uwierzył! odrazu uwierzył! podlec!"

W pokoiku odźwiernego było ciasno, stało tylko jedno krzesło, które gospodarz najspokojniej w świecie zajął.

„Cham, cham! nawet nie poprosi siadać," myślał przygnębiony Mitrofan Wasilewicz, chociaż siedzenie nietylko u odźwiernego, lecz nawet we własnej kuchni, uważał za poniżające dla siebie.

„Cham", powtórzył i spytał dobrodusznie: „Pewnieście kawaler?"

Odźwierny nie raczył odpowiedzieć. Obrzuciwszy nauczyciela obojętnem, aroganckiem spojrzeniem, rzekł po chwili milczenia:

„Był tu już onegdaj jeden z waszych. Taki blondynek z wąsami. Wiecie?"

„A jakże, znam. Taki... blondyn."

„Wielu was się włóczy," obojętnie zauważył odźwierny.

„Słuchajcie," oburzył się Mitrofan Wasilewicz, „Nie życzę sobie wcale... Potrzeba mi"...

Lecz odźwierny ciągnął dalej nie zważając:

„A dużo wam płacą? Blondynek mówił, że pięćdziesiąt. Mało".

„Dwieście", skłamał Mitrofan Wasilewicz i ze złośliwą radością ujrzał wyraz zachwytu na twarzy odźwiernego.

„Acha, widzisz, gołąbku", pomyślał.

nemu przez króla Fortisowi. Nowe rządy zaczęły się dnia 24 z. m.

Izba francuska rozprawia nad rozdziałem kościoła z państwem — dotychczas bez gwałtowniejszych scen. Watykan zachowuje się powściągliwie. W takim duchu przemawiał papież na konsystorzu d. 27 z. m.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Drogowskaz.

Zapisowi zmarłego M. Wessla trzeba przyznać, że jest ogromnie wymowny. 1,300,000 rb. dla Filharmonii wtedy, kiedy... W tem miejscu wszelkie podobne utyskiwania bywają przerywane uwagą: „Ależ nad każdą potrzebą można postawić inną!” Niewątpliwie. Społeczeństwo nasze posiada przywilej hodowania tylu rodzajów nędzy, że zawsze znajdzie się taka, która rzeczywiście lub pozornie przewyższa pozostałe. Chwila obecna wszakże uwydatnia niezwykłe między nimi różnice. Otóż dać milion rubli Filharmonii wtedy, kiedy pół miliona ludzi nie ma pracy a więc nie ma chleba, kiedy tysiące rodzin po żołnierzach poległych lub walczących w Mandżuryi patrzą z przerażeniem w groźne jutro—na to zdobyć się może tylko nienormalny Europejczyk lub t. z. szlachcic polski. Nikomu innemu nawet myśl podobna nie przyszłaby do głowy. Nie chcę obrażać jednostek z dużą wartością umysłową i moralną, ale muszę wyznać, że śród naszego patrycyatu wiejskiego objawia się coraz częściej zwyrodnienie psychiczne. Tu już nie chodzi o brak wiedzy, egoizm, przesądy i wogóle o bezpłodność lub zły rozwój gałązek, lecz o próchnienie pnia. Zestarzał on się, wyczerpał z soków żywotnych, zasycha w rdzeniu. Z mocnych wzruszeń, ze śmiałych myśli, z wielkich rozmachów woli pozostał mu kult dla polityry towarzyskiej i rozmaite manie, między któremi dość często występuje teatralna i muzyczna. Uczestniczyłem raz w naradzie koła rolniczego, w którem odznaczał się energią i pomysłowością młody ziemianin, wnuk chłopa. Zdawało się, że wątłe i puste dusze obecnych otwierają się ku niemu z zachwytem a on w nie wlewa nowe życie. Gdy odjechał, ktoś z obecnych zauważył: „Ucałowałbym go, gdyby szelma nie popychał sobie w gębę bułki palcem.”—„O tak—rzekł drugi — dzielny toreador i mądrzejszy od nas, bo łydek w bieganiu za Kaśkami nie stracił.” Tyle pozostawił po sobie w obywatelskiem gronie ten siewca bujnych myśli. Czyż go nie zrozumiano i nie uznano? Owszem, ale nic więcej. To byli inni ludzie, zdolni jeszcze do pewnych zabiegów gospodarczych, ale już niezdolni do udziału w wytwarzaniu energii społecznej. Oni śród największej niedoli mogą marzyć o Izadorze Duncan, oni wszedłszy do najokropniejszego z kręgów piekła śród wycia potępieńców powiedzieliby z westchnieniem. „Ach, jaki śliczny ton ma Kubelik!”

Jeżeli ciało ludzkie, ulega czasem znieczuleniu na ciepło lub zimno, dlaczegoby również dusza ludzka nie miała się znieczulać na pewne potrzeby społeczne? I tak jest, a dowodem zapis właściciela Karczmisk M. Wessla. Czy to nie charakterystyczne, że on żył w jednym z kręgów piekła z troską o... należyte wykonywanie utworów Wagnera i z myślą o... zabezpieczeniu Filharmonii, on nie muzyk, lecz zwyczajny gość koncertów? Taki legat dopiero tłumaczy nam; dlaczego sfera szlachecko-ziemiańska przyjmuje może najsłabszy udział w podatkach społecznych i dlaczego ona jest głuchą pustynią odpowiadającą milczeniem na głosy, wołające o pomoc i ratunek dla gromady bied wszelakich; dlaczego obywatelowi opuszczającemu dolinę łez nie zadrga pióro, gdy cały swój olbrzymi majątek zapisuje przedsiebiorstwu muzycznemu? Tak, to jest fakt pouczający, to jest drogowskaz szlaku, po którym z największem upodobaniem chodzą myśli naszych faworytów losu. *Go—on.*

Kształtowanie się.

Dość dziwną przemianę możemy zauważyć w naszem życiu społecznem. Drobniejsze cieniowania, szczegóły zanikają, a uwypuklają się, uplastyczniają zarysy główne. Wszystko niemal świadczy o tem, żeśmy doszli do pewnego przełomu, do punktu zwrotnego. Myśl to nienowa; wspólną jest prawie wszystkim omawianiom dzisiejszego położenia. Na tle tego przełomu powstaje przemiana i psychiki ogólnej, psychiki wzajemnego do siebie stosunku zarówno jednostek, jak i grup społecznych. Na ten fakt właśnie pragnę zwrócić uwagę.

Dotychczas warunki naszego istnienia zamazywały pewne kańciastości różnic interesów grup społecznych. Wspólne porywy, odczuwane przez jednych szczerze i głęboko, przez innych szczerze, lecz płytko, jeszcze innym służące za wygodną przykrywkę interesów grupowych, te wspólne porywy łagodziły dysonanse, uspakajały starcia ciągłem podkreślaniem wspólnego celu. Długoletnie doświadczenie nauczyło nas rozumieć ten wspólny cel, udowodniwszy szorstko i boleśnie, jak trudnym jest on do osiągnienia *właśnie* wspólnemi siłami, jak często, niestety, pozostaje pustym dźwiękiem.

Obecnie warunki naszego życia znajdują się w stadyum przemiany. Jak daleco dzisiejsza ich nienormalność dla oka mniej wprawnego czyniła sztucznie niewidzialnymi prądy, nurtujące społeczeństwo, najlepiej wykazuje fakt, że choć nie podlegały jeszcze radykalnej zmianie, choć tylko poczęły chwiać się nieco odnaporu nowo-powstającego innego życia, już głośno i wyraźnie przemówiło przekształcenie się sił społecznych. Ci, którzy przedtem zwykle w momentach przełomowych występowali w pierwszym szeregu, usunęli się na stronę i pozostali tylko przeżytkiem. Na miejscu tych, którzy nie poszli z duchem czasu, ukazały się nowe siły, świeże, żywotne i czujne.

Ta zmiana wstrząsnęła całą dotychczasową ideologią, wykazała marność haseł, nicość przewódców i kierunek, którym rozwój społeczny pójść musi.

Lecz dawne nałogi nie zamilkły jeszcze, przeszłość nie przestała przemawiać „idylicznie“. Starcie się dwu potęg wykazało pewne cechy, świadczące o stałości prawa rozwoju. Jako przykład tych dwu sił: zanikającej i naradzającej się, przytoczę historyę układów pomiędzy pracobiorcami i pracownikami.

Początkowo szło wszystko, jak po maśle. Pracownicy występowali z żądaniami, „pryncypałowie” po dłuższem lub krótszem wahaniu się czynili ustępstwa; potem naradzano się wspólnie, wspólnie czasem utyskiwano na ciężkie czasy i zakupywano nabożeństwa dziękczynne. Pozornie przyczyny niezadowolenia zostały usunięte. Ton uroczysty naturalnie odbił się i w prasie, która w swym odłamie burżuazyjnym śpiewała hymny na cześć pracy wspólnej do braci fabrykantów, kupców i przedsiebiorców. Całe to jednak podniosłe celebrowa-

---

„Hę? dwieście. To rozumiem. Może pan pozwoli papierosa?”

Mitrofan Wasilewicz z wdzięcznością przyjął papierosa z rąk odźwiernego, myśląc jednocześnie z tęsknotą o swem japońskiem pudełku z papierosami, o gabinecie, o miłych, niebieskich zeszytach. Poczuł nudności. Tytoń był obrzydliwy, cuchnący, szpiegowski.

„A biją was często?”

„Słuchajcie...”

„Blondynek opowiadał, że ani razu go nie bili. Ale pewnie łże. Jakże to może być, żeby nie bili. Jeżeli rzadko i ostrożnie, bez uszkodzeń, to głupstwo. Pieniądze niemałe. Prawda, proszę pana?” i odźwierny przyjaźnie się uśmiechnął.

„Chciałbym wiedzieć...”

„Trzeba jednak mieć zdolności i odpowiednią twarz, bez szczególnych oznak. A to widziałem jednego ze skrzywioną twarzą i bez oka. Czyż taki się nadaje, osądźcie sami! Jakby mu twarz wiatr wykręcił, a zamiast oka dziura! O, pan np...”

„Słuchajcież nakoniec,“ krzyknął Mitrofan Wasilewicz, „ja nie mam czasu, muszę iść!“

Niechętnie porzucając zajmujący go temat, odźwierny wypytał go szczegółowo, jak wygląda kursistka.

„Już wiem. Często tu przychodzi. Nr. 7, Iwanowa. Po co rzucasz papieros na podłogę? Masz tam piec. Jeszczybym miał wymiatać po was!”

„Cham,“ odpowiedział mu w myśli Mitrofan Wasilewicz, idąc spiesznie ulicą i szukając oczyma dorożki: „Do domu, prędzej do domu!“ Czemuż mu to wcześniej na myśl nie przyszło, co znaczy roztargnienie. Ma przecie dziennik, do którego, niegdyś, będąc jeszcze studentem pierwszego kursu, wpisał coś bardzo liberalnego, bardzo śmiałego i wolnomyślnego, coś nawet pięknego. Pamięta dobrze ów wieczór i swój pokoik, i rozsypany na stole tytoń, i to uczucie dumy, upojenia i zachwytu, z jakiem te energiczne słowa rzucał na papier. Wyrwać te stronice i posłać jej! Gdy je przeczyta, zrozumie wszystko, jest przecie rozumnem i szlachetnem dziewczęciem! Jak to dobrze! Jak już późno! Jak się chce jeść!

W przedpokoju spotkała go zaniepokojona żona.

”Gdzieś był? Co ci jest? Czemuś tak dziwny?”

Zrzucając śpiesznie paltot, Mitrofan Wasilewicz zaczął krzyczeć:

„Z wami można się stać jeszcze dziwniejszym! Dom pełen ludzi, a niema kto przyszyć guzika. Ciekawym, co wy tu, u dyabła, robicie? Sto razy już mówiłem, żeby ten guzik przyszyć. To wszelkie pojęcie przechodzi, rozpusta!“

„Skierował swe kroki ku gabinetowi.

„A obiad?”

„Później. Nie przeszkadzaj. Nie idź za mną”.

„Dużo było książek, zeszytów, lecz dziennika nie mógł znaleźć. Nawinęła mu się paczka zeszytów uczniowskich z pierwszego roku jego nauczycielstwa, zachowana na pamiątkę — odrzucił ją. Siedząc na podłodze, wyrzucał z dolnej półki szafy papiery, książki, zeszyty, wpadał w rozpacz, wzdychał, wściekały go zgrabiałe palce — gdy w końcu! Oto jest. Niebieska, trochę zatłuszczona okładka, staranne, nieustalone jeszcze pismo, kwiaty zeschłe, mdła woń starych perfum—to pamiątka jego lat młodzieńczych.

nie pozostało tylko pianą, którą niewybredni mędrkowie wzięli świadomie lub nieświadomie za prawdę, istotę rzeczy. Rzeczywistość wykazała co innego. Zapał opadł, nie zdoławszy zmienić psychologii dzisiejszego stosunku pracy do kapitału; skoro ucichły deklamacye, różnych zakątków poczęły dość licznie nadpływać wieści, mącące nieco nastrój radosny i podające w wątpliwość twierdzenia o anielskości serc przeróżnych.

Najpierw nadeszły depesze z Lodzi, zawiadamiające o cofnięciu ulg poczynionych przez fabrykantów tamtejszych. Poczem coraz tłumniej poczęły napływać podobne wiadomości. Typowem pod tym względem było znalezienie się kompanii maszyn do szycia Singera i towarzystwa telefonicznego Cedergren. Są to fakty znane powszechnie.

Świadomość ogółu nie może pojąć, że nastąpiły pewne zmiany formalne. Przemysłowcy uważają ustępstwa za łaskę: telefonistki mają obiecane nagrody za pilność; prawie wszędzie mówiono robotnikom: nie chcemy się z wami układać, pracujcie, nie stawiajcie żądań, a wtedy — pomyślimy o was; Kompania Singera zaś cofnęła podwyżkę i obniżyła dawną normę płacy o 25 do 30%.

Czy jednak wiara w powrót dawnych stosunków nie zawiedzie, czy nadpłynie powrotna fala, do której modły ślą pracobiorcy i ich obrońcy kuryerkowi?

Ideologia dotychczasowa pomimo nawoływań publicystów wrzeszczących: nie bójcie się, nie poruszy się z posad ziemia, jakoś jednak wytrącona jest z kolei, którą spokojnie toczył się jej wózek, i ani weź w dawne, śpiące kiwanie się wpaść nie może. Zmiana poważniejsza jeszcze w niej nie nastąpiła; lecz okres ten już się rozpoczął. I dlatego dzisiejszy moment historyczny jest tak ważny. Przeistaczają się warunki społeczne, z nimi nierozerwalnie spojona i w nich swe źródło mająca psychika życia ogółu. Dawne nałogi, dawne narowy jeszcze żyją. Należy nawet sądzić, że nie tak prędko przestaną krzyczeć i zachwalać swe zalety. Życie ujawniło jednak tak wielką siłę napięcia, tęsknoty do przyszłości, że wierzyć musimy, iż wszelkie krakania nie zatrzymają go w biegu. Niewątpliwie, antagonizmy społeczne nie zamilkną, lecz nastąpi nowe ukształtowanie się pewnych stron życia, a to wzmocni dążenia do przemiany. Wypadki, które początkowo tak przeraziły „ojców narodu,“ a dziś ich tak świątobliwym napełniają oburzeniem, wykazały przeistoczenie odczuwania powszechnego, świadczącego, że nowe kształtowanie się życia zapuściło mocne korzenie w naszą glebę. Rozbudzenie się silnej solidarności dowiodło, że istnieje przeszkoda, o którą rozbijać się będą zakusy przeróżnych wsteczników. Obecnie nie zdołają oni uniknąć starcia, patryotycznemi draperyami pokryć rozłamu między tymi, co odważnie idą w przyszłość, a tymi, którzy depczą ideały, przed sekundą jeszcze uważane za święte, byle pozyskać sojuszników dla własnych interesów, niemających nic wspólnego z dążeniami ogółu.

Treść życia społecznego zapewne długo jeszcze będzie ta sama. Ideologia mieszczańska wzrośnie i skrystalizuje się. I to będzie wielkim krokiem naprzód. Mamidła, puste dźwięki zamrą, piękne pozy utracą racyę bytu, a wtedy nastąpi panowanie nowego światopoglądu, dla myśli ogółu otworzą się szerokie, daleko sięgające horyzonty.

br.

Pod berłem pruskiem.

Memoryał komisyi kolonizacyjnej. Towarzystwa czytelni ludowych. — Kółka rolnicze. — Kandydatura księdza Kapicy.

Tak zwykle, tak i w tym roku komisya kolonizacyjna przedłożyła sejmowi pruskiemu olbrzymi memoryał, wynoszący 380 stronic, trzymany w tonie tryumfującym, aby dowieść członkom tego ciała, że nie naprożno uchwalają wielkie sumy na utrzymanie i działalność tej instytucyi polako-żerczej. Memoryał zaznacza, że podaż dóbr nieco się zmniejszyła w roku ubiegłym, gdyż ofiarowano komisyi kolonizacyjnej tylko 447 majątków wobec 509 w roku poprzednim. Natomiast daje się zauważyć wzrost podaży ze strony włościaństwa, kiedy bowiem w r. 1903 chłopi ofiarowali 380 posiadłości, to w r. następnym liczba wynosiła już 505. Należy naznaczyć, że mowa tu przeważnie o chłopach niemieckich, którzy za przykładem niemieckich właścicieli wielkich posiadłości ziemskich chcą też zarobić na „patryotycznej instytucyi, sprzedając jej swą ziemię za drogie pieniądze. Polacy w roku ubiegłym sprzedawali komisyi kolonizacyjnej ziemię tylko przez pośredników, gdyż obawa kompromitacyi wobec opinii publicznej powstrzymuje sprzedawczyków od osobistego zwracania się do osławionej instytucyi. Jest to zresztą dogodniejsze i dla tej ostatniej—ze względów finansowych, gdyż majątek, który komisya ma kupić bezpośrednio z rąk właściciela Polaka, zwykle kosztuje ją drożej. Tłomaczy się to tem, że do kupna o majątek, zagrożony przez komisyę kolonizacyjną, stają i nabywcy polscy, co podnosi cenę i każe kolonizacyi przepłacać, aby się nie dać ubiedz polskim konkurentom.

Do jakiego stopnia komisya kolonizacyjna stała się instytucyą „filantropijną” dla niemieckich właścicieli ziemskich, świadczy najlepiej stosunek procentowy ziemi, nabytej od Polaków do ziemi, wykupionej z rąk Niemców. W ciągu. roku 1904 komisya kolonizacyjna kupiła 64 dobra większe i 75 gospodarstw włościańskich, w tem z rąk polskich 6 dóbr i 21 gospodarstw włościańskich. W r. 1904 osiedlono ogółem 1582 rodziny kolonistów, czyli około 9,000 dusz. Widzimy, że rodziny tych kolonistów rachowane są bardzo suto i, jak zwykle, niezgodnie z rzeczywistością — dla zaimponowania większemi liczbami członkom sejmu. Ale i w memoryale komisya kolonizacyjna nie mogła się powstrzymać od skargi, że koloniści pochodzą przeważnie z Poznańskiego i że sprowadzanie osobników z zachodnich prowincyj Niemiec spotyka się z niepokonanemi prawie trudnościami.

Od lat paru komisya stara się do nabytych przez siebie a dotychczas nierozparcelowanych dóbr sprowadzać niemieckie rodziny robotnicze, które mają wyprzeć polskich robotników. Obecnie zatrudnia ona w swych dobrach 706 niemieckich rodzin robotników. Niektórzy koloniści też sprowadzają Niemców do roboty, ale większość olbrzymia korzysta oczywiście z tańszej, miejscowej, polskiej siły roboczej. Tych robotników i robotnic niemieckich w osadach 225 kolonistów jest zaledwie 2,500 dusz.

Ogółem nabyła komisya od początku swego istnienia. tj. od r. 1886, wielkiej własności 250,481 hektarów za 197,205,082, marek, gospodarstw włościańskich 11,181 hek. za 12,032,006 marek, razem więc 261,662 hekt. ziemi, za którą zapłaciła 209,297,088 marek. Z tego z rąk polskich wykupiła 99,190 hekt. za 73.945,555 marek. W ciągu całego czasu swego istnienia komisya osadziła na zakupionej przez siebie ziemi 9121 rodzin kolonistów niemieckich czyli, według obliczenia memoryałów, 60,000 dusz.

Etat komisyi kolonizacyjnej został zatwierdzony przez izbę pruską po bladych mowach członków Koła polskiego i centrowca, który skarżył się na sztuczne śrubowanie cen ziemi przez komisyę i na pomijanie Niemców-katolików przy kolonizowaniu nabytych obszarów. Posłowie polscy starali się udowodnić, że kolonizacya jest

---

Usiadł przy stole i długo przerzucał stronice dziennika, nie mogąc znaleźć potrzebnego miejsca. W środku była przerwa, brakowało kilku kartek, sterczały tylko krótkie strzępy papieru. Tu przypomniał sobie, że gdy przed pięciu laty u Antoniego Antoniewicza była rewizya, przeraził się bardzo, wyciął z dziennika to, co mogło go skompromitować i spalił. Nie ma więc czego szukać, niema ich już, zginęły w ogniu!

Z pochyloną głową, ukrywszy twarz w dłoniach, siedział długo bez ruchu nad spustoszonym dziennikiem. Swieca słabo oświetlała pokój, Mitrofan Wasilewicz nie zdążył zapalić lampy, w pokoju panował zmrok, od czarnych, niezgrabnych krzeseł wiał chłód, opuszczenie, nuda. W dalszych pokojach bawiły się dzieci, śmiejąc się i hałasując; w jadalni dzwoniły szklanki, ruszano się, rozmawiano — a tu grobowa cisza, jak na cmentarzu. Gdyby tu zajrzał artysta-malarz, odczuł tę chłodną, ponurą ciemność, ujrzał stosy porozrzucanych ksiąg i papierów na podłodze, ciemną sylwetkę człowieka z twarzą ukrytą w dłoniach, pochylonego nad stołem w beznadziejnej tęsknocie — namalowałby obraz i podpisał: „Samobójca”.

„Można przecie sobie przypomnieć,“ myśli błagalnie Mitrofan Wasilewicz, „można przypomnieć. Papier spłonął, lecz to, co tam było, musiało przecie gdzieś zostać. Ono istnieje, trzeba tylko sobie przypomnieć.“

Nasuwają mu się różne zbyteczne szczegóły: format stronicy, charakter pisma, nawet przecinki i kropki, lecz to, co mu potrzeba, co mu jest tak drogie, takie jasne i uniewinniające — zginęło bezpowrotnie. Żyło dawniej i umarło, jak umierają ludzie, jak umiera wszystko. Znikło i nikt o niem nie wie, nikt go nie pamięta, w żadnej duszy nie zostawiło śladu. Gdyby upadł na kolana i, płacząc, błagał o jego zmartwychwstanie, groził, zgrzytał zębami—olbrzymia pustka pozostałaby niemą, nigdy bowiem nie wraca tego, co już raz pochłonęła. Czyż łzy i łkania wróciły kiedy życie umarłemu? Niema przebaczenia, niema litości, niema powrotu—oto prawo okrutnej śmierci.

Ono umarło, zostało zabite. Podły zabójca! Własnemi rękami spalił najpiękniejsze kwiaty, które raz jedyny w życiu, w cichą, świętą noc zakwitły w jego jałowej, ubogiej duszy. Do kogo się zwrócić, gdy sam jest swoim wrogiem? Biedne, zniszczone kwiaty! Może nie jaśniały zbytnio i nie było w nich siły i piękna myśli twórczej, lecz były tem najlepszem, co się rodzi w duszy, a teraz niema ich i nigdy już nie zakwitną. Niema przebaczenia, niema litości, niema powrotu — to prawo okrutnej śmierci.

„Cóż to jest? Za pozwoleniem,“ szepcze bezmyślnie Mitrofan Wasilewicz.

„Przekonałem się, Iwanow, żeś skopiował... Nie, nie. Głupstwo. Trzeba zawołać żonę. Masza, Masza!“

(C. d. n.).

Przeł. J. Piekarska.

szkodliwą dla Polaków, „dobrych obywateli państwa," jak gdyby Niemcom nie chodziło o to właśnie.

Wobec bibliotek germanizatorskich, forsownie zakładanych po miastach, miasteczkach i nawet wioskach ważną jest sprawa czytelni polskich, któremi specyalnie opiekuje się „Towarzystwo czytelń ludowych". Swieżo ukazało się sprawozdanie z działalności tej instytucyi z roku 1904. Dowiadujemy się z niego, że w ciągu roku zostało założone 128 nowych czytelń, a wszystkie istniejące zaopatrzono w 23,086 książek, że „komisya krytyczna" przyjęła do katalogu 33 nowe książki. Otóż trzeba wiedzieć, że najsłabszą stroną działalności „Towarzystwa czytelń ludowych" jest właśnie dobór książek, w zakładanych przez nie biblioteczkach. Zacofanie i duch skrajnego klerykalizmu, przenikający koła, w których ręku znajduje się „Towarzystwo", odbijają się bardzo wyraźnie na tym doborze. Wszelakie śmiecie o „zacnej tendencyi" moralizatorsko-ogłupiającej, zapełniają półki tych biblioteczek i tak już przetrzebionych, dzięki prześladowaniom władzy pruskiej — głównie pod względem wydawnictw historycznych. Należy jednak przyznać, że widoczny jest pewien postęp. Makulatura wśród książek, wybranych przez komisyę krytyczną, jest tylko drobną cząstką, reszta to rzeczy przeważnie wartościowe z dziedziny naszej literatury popularnej: przeróbki powieści Orzeszkowej, Sienkiewicza, prace Dyakowskiego, Umińskiego, parę podręczników itd. Co do funduszów „Towarzystwa", to przedstawiają się one nieświetnie. Od paru lat już rachunki roczne są zamykane ze wzrastającym niedoborem, co uniemożliwia i rozszerzenie działalności, przez założenie np. biblioteczek ruchomych, bardzo potrzebnych, zaopatrywanie istniejących w dostateczną ilość nowych książek i zakładanie nowych czytelń. Na kupno książek użyto w 1904 roku 12,000 marek. Są jednak widoki, że finansowa strona „Towarzystwa" poprawi się, ponieważ wkrótce ma wpłynąć do kasy 50,000 marek, zapisanych „Towarzystwu" przez jednego z jego członków — Ignacego Andrzejewskiego.

Obok „Towarzystwa czytelń ludowych" najpoważniejszą instytucyą obliczoną na ludność włościańską w Poznańskiem jest „Towarzystwo kółek rolniczych". Jest to stowarzyszenie, a raczej zbiór wielkiej liczby stowarzyszeń, dbających o podniesienie poziomu ekonomicznego gospodarstw włościańskich. Dla średniozamożnej i zamożniejszej części włościaństwa kółka rolnicze zrobiły bardzo dużo,—rozwój tych stowarzyszeń przyczynił się w znacznej mierze do wyrobienia całego pokolenia rolników zawodowych. Kółka rolnicze odgrywają pewną rolę polityczną, gdyż za ich pomocą ziemiaństwo i księża wywierają bardzo znaczny wpływ na warstwę bogatszych chłopów, która idzie ręka w rękę z „urodzonymi przewodnikami narodu". W jakiej zależności od pierwszych dwóch czynników znajdują się chłopi w kółkach, najlepiej świadczy fakt, że w 276 istniejących obecnie kółkach rolniczych na stanowiskach przewodniczących jest 34 księży i 107 szlachty, kiedy zaledwie 75 włościan piastuje tę godność.

W roku ubiegłym przybyło 16 kółek i około 1,000 członków, których obecnie jest ogółem 12,100. Co do rozwoju gospodarstw włościan, należących do kółek, to używanie nawozów sztucznych jest już prawie ogólne; w roku ubiegłym spotrzebowano do 300,000 centnarów nawozów sztucznych. Drenowanie robi znaczne postępy, tak że obecnie przeprowadzono je na 200,000 morgach, posiadanych przez członków kółek. Uprawa roli jest wszędzie dobra i staranna, narzędzia rolnicze wszędzie ulepszone—samych siewników rzędowych jest w kółkach 2100. Słabiej stoi chów bydła, ale i ten zaczyna się podnosić. Skoncentrowanej paszy kółka sprowadziły przeszło 25,000 centnarów. Dość szybko rozwija się mleczarstwo. Członkowie kółek posiadają 1,700 seperatorów, przeszło 100 członków odstawia mleko do mleczarni spółkowych. Chów koni i nierogacizny stoi na wysokim stopniu rozwoju, bardzo słabo natomiast pszczelnictwo. Prawie wszędzie przeprowadzono asekuracyę od ognia, ale od gradobicia niewielu gospodarzy zabezpieczyło się dotychczas. Dużo do życzenia pozostawia rachunkowość. Organ kółek, „Poradnik gospodarski" utrzymuje się obecnie już bez żadnych subwencyj.

Sprawa wyborów w okręgu katowicko-zabrskim na Górnym Śląsku wciąż jeszcze jest niewyjaśniona. „Katolik" milczy, jak zaklęty, nie wypowiadając się za, ani przeciwko Korfantemu. Polski komitet wyborczy czeka, jak się zdaje, na wypowiedzenie się „Katolika" i żadnej kandydatury nie ogłasza. „Górnoślązak" agituje w dalszym ciągu za Korfantym, uważając jego kandydaturę za jedynie możliwą. Tylko centrowcy i socyaliści ogłosili swych kandydatów. Ci ostatni towarzysza, Franciszka Morawskiego, a pierwsi księdza Kapicę. Szerzą się pogłoski, że jednak kandydatura ks. Kapicy nie jest ostateczną, że w danej chwili ma się on podobno zrzec jej, a jego miejsce zajmie ks. Stephan, redaktor „Gazety Katolickiej", ubiegający się w ostatnich czasach o sympatyę Polaków po za narodowymi demokratami, co mu się naprzykład w stosunku do „Orędownika", w zupełności udało.

Pośrednik.

UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

Programem politycznym rządowej partyi politycznej jest: skarb państwa powstający z podatków, ceł i innych opłat zrobić prywatną własnością urzędników wyższych, dobra publiczne prawem kaduka rozdzielić pomiędzy siebie. Do programu należy też szulerka, pijaństwo, rozpusta, próżniactwo i swawola. Niższym urzędnikom nie wypłaca się pensyi, zadawalając wydawaniem „carte-blanche" na pewną ilość przestępstw karnych i wymuszań pieniężnych. Ponieważ tylko przybysze z kulturalnych krajów Europy posiadają zdolność eksploatowania przyrodzonych bogactw ziemi, przeto ta partya uprawia politykę psa na sianie, który ani sam siana nie je, ani go żadnej innej „żywinie" nie daje. Na taką racyę stanu tem łatwiej jest tym panom się godzić, że chcąc uprzystępnić eksploatacyę skuteczną żywiołom obcym lub brazylijskim, wypadałoby podejmować różne roboty publiczne w celach inwestycyjnych, melioracyjnych i kulturalnych, a wtedy niceby nie zostało z pieniędzy publicznych na szulerkę, pijaństwo i rozpustę. Stosunek władz stanowych w Paranie do wychodźstwa daje się łatwo odgadnąć. Pragną one napływu emigracyi zaopatrzonej w środki pieniężne, ażeby jej sprzedać skradzione obszary, które ich nawet „trochę strachu", jak mówią złodzieje, nie kosztują; pragną i z tego względu, że to dałoby im możność wymuszania różnych opłat i zwiększyłoby zasoby podatkowe. Nie znaczy to jednak, że te władze dbają o rozkwit materyalny tej emigracyi lub życzą go sobie—bynajmniej; w wypadku niemożności wyduszenia z niej żeru dla siebie rozmaitemi manewrami, potrafią ją spustoszyć. Ponieważ tak zacny program polityczny budzi zazdrość w jednych a oburza drugich, więc istnieje licho zorganizowana, niedołężna opozycya krzykacka, przejawiająca się w formach bardzo drastycznych a nawet w rewolucyi zbrojnej. Wszelka opozycya na gruncie prawnym nie prowadzi do żadnego celu, bo ludzie, będący u władzy, rządzą za pomocą terroru wojskowego. Urny wyrzuca się przez okno, wyborcom grozi się rewolwerami, nad wynikami wyborów przechodzi się do porządku dziennego, mieszkania kandydatów opozycyjnych otacza się wojskiem i bagnetami wymusza się zrzeczenia kandydatury. Do tego celu w każdym stanie służy parę tysięcy wojska bardzo lichego, jako materyał bojowy, lecz zupełnie wystarczającego do uprawiania pretoryanizmu. Pięć szóstych ludności pod względem politycznym zachowuje się zupełnie apatycznie, naiwnie i niedojrzale; dla steroryzowania zaś jakiejś szóstej lub ósmej części wrażliwszej, wojska tego dosyć. Ponieważ jednak ono tam więcej polityku je, niż obznajmia się ze sztuką wojenną, więc też czasem opozycya zdoła część jego na swą stronę przeciągnąć. Wówczas wybucha rewolucya zbrojna, bardzo licho prowadzona pod względem wojennym, prawie operetkowa, ale za to z obu stron współzawodnicząca w okrucieństwach, perfidyi, grabieży i pastwieniu się nad bezbronnymi. Z tego pobieżnego szkicu czytelnik domyśli się, że głównym pustoszycielem kraju, główną przeszkodą i hamulcem dla jego rozkwitu kulturalnego jest ta półinteligencya brazylijska, sprawująca rządy samozwańczo, bezprawnie i terorystycznie. Rzecz oczywista, że w interesie tamtejszej ludności polskiej, niemieckiej, brazylijskiej i włoskiej leży jak najprędsze wymiecenie tej szajki kryminalnej, nieprzebierającej w środkach. Ktokolwiek ją zastąpi, zawsze będzie lepszy, niż ona.

Władze stanowe w Paranie bardzo chętnie widziałyby tu i podtrzymywały lub wywoływały waśni narodowe i walki rasowe, bo jakkolwiek nie grzeszą rozumem, to jednak pojmują, że termin ich karnawału politycznego znacznieby się wskutek tego przedłużył. Czytelnik wobec tego sam może osądzić, o ile zasługują na zaufanie artykuły niepokojące opinię polską hiobowemi wieściami o walce rasowej Polaków z Niemcami w Paranie, pocieszające ją zapewnieniami zwycięztwa pierwszych dzięki „dzielnym szeregom inteligencyi". Jest to oczywiście sprytna samoreklama, umiejętne wkradanie się w łaski społeczeństwa polskiego. O ile niema w tem gry rozbujałej wyobraźni polskich inteligentów w Paranie, skazanych siłą okoliczności na próżniactwo i bezczynność, które sprzyjają rozwojowi fantazyi, o tyle może to być kłamstwem planowem. Skąd jednak pochodzi złudzenie? Nietrudno wytłomaczyć. Emigracya niemiecka nowszej doby wywozi z Niemiec do Parany cokolwiek chuci hakatystycznych, których oczywiście nie zdąży zatracić ani w przejeździe przez ocean, ani w pierwszych latach osiedlenia się w Paranie, gdyż otrzeźwienie nie odrazu się zdobywa. Otóż tacy niewyleczeni jeszcze hakatyści tu i owdzie urządzają jakiś popis, mający jedynie znaczenie epizodyczne. Ponieważ owe „dzielne szeregi naszej inteligencyi" są fotograficznem odbiciem zwyrodniałych i zdziczałych hakatystów, ponieważ nie umieją ogarniać całokształtu życia, nie znają go i nie rozumieją a tylko karmią się plotkami, przeto burdy szynkowe podnoszą do znaczenia walki rasowej. Burdy takie wszędzie i zawsze powstać mogą i nie potrzebują być tłomaczone aż teoryą walk rasowych.

Pisma niemieckie specyalnie poświęcone sprawom wychodźstwa niemieckiego, jak „Kolonial-Zeitung" lub „Das Echo", wychodzące w Berlinie, często słowami przygodnych korespondentów uskarżają się na oziębienie uczuć niemieckich. Wszechniemieckie pisma, wydawane na Śląsku wysyłały nawet specyalnego korespondenta i repor-

tera dla poznania stanu rzeczy na miejscu. Rozmawiałem z tym korespondentem i przekonałem się, że był on zupełnie rozczarowany nastrojem Niemców parańskich i wogóle brazylijskich. Czy ten pan był dość przenikliwym i bystrym w swej ocenie, rzecz inna. Dajmy zresztą na to, że to Niemcy w Paranie występują względem Polaków zaczepnie, nie „owe dzielne szeregi z inteligencyi polskiej wyzywają do walki rasowej w przystępie obłędu i próżniactwa. W takim razie radziłbym dzielnym szeregom nie zakładać w okolicznościach awanturniczych szynków dla dogodzenia swemu „widzi mi się“, nie korzystać z moralnej i umysłowej niemocy ludu wychodźczego, ażeby rozpajać go wódką, wnosić doń waśni, kłamstwa, intrygi, niszczyć szkoły i towarzystwa. Słuszniej byłoby natomiast zająć się umysłowem, moralnem i obyczajowem podniesieniem tego ludu, ażeby on na hańbę narodu, do którego należy, nie pozostawał na poziomie cywilizacyi jakichś indyan czerwonoskórych. Gdy tego wszystkiego „szeregi“ nauczą się w Paranie wystrzegać, gdy szkółka wiejska nie będzie przedłużeniem księdzowskiego podwórka, wtedy osadnicy polscy potrafią odróżniać Pana Boga od księdza, co dotąd z trudnością im jeszcze przychodzi. A gdy już dojdą do tego minimum człowieczeństwa, wówczas wszczynający walkę rasową niemiecki zakon Franciszkanów przestanie być groźnym; wtedy ogłoszenie przez niego paru pieśni więcej religijnych, niż patryotycznych za heretyckie, w osadnikach polskich wzbudzi śmiech tylko, zresztą ich poczucie ogarnie już wówczas będzie rozleglejszą sferę wrażliwości i świadomości narodowej. Możnaby też również zalecić owym „dzielnym szeregom”, ażeby się wyrzekły romansów z policyą parańską, złożoną z szumowin i wyrzutków wszelkiego rodzaju. Świadczy to nietylko o złym smaku w wyborze towarzystwa, lecz jest także w dodatku zdradą interesów polskiego ludu wychodźczego i interesów kraju tamtejszego.

Jakkolwiek wychodźstwo niemieckie jest zdolnem zatrudnić daleko większą ilość inteligencyi zawodowej i bez zawodu, to jednak pisma niemieckie powstrzymują swą inteligencyę od emigracyi do Brazylii. U nas przeciwnie, jak zawadzającego Menelausa do Krety, tak całą wykolejoną inteligencę chcianoby wyprawić z kraju. Pierwszego lepszego, zdecydowanego jechać, gdzie go oczy poniosą, wypycha się do Parany dla ratowania zagrożonej lub innym zagrażającej placówki. Nic też dziwnego, że użytecznego, godnego człowieka z charakterem znaleźć tam trudno.

Inaczej być nie może, gdy się nie zwraca uwagi na to, czy kandydat na przewodnika wychodźstwa jest istotą zdrową moralnie i fizycznie, o co nie tak znów łatwo w warunkach polskiego życia i wychowania. Wniekulturalne, polskie masy wychodźcze nie należałoby wnosić chuci nacyonalistycznych pod grozą odpowiedzialności moralnej za gwałty, bezprawia, burdy i krzywdy, jakie wskutek tego zachodzą. Półbarbarzyński wychodźca polski, suggestyonowany mniej lub więcej niezdarnie w kierunku nienawiści rasowej, nie wie co z tym fantem począć, nie może mu nadać formy płodnego współzawodnictwa życiowego, jego niemoc kulturalna nie pozwala mu na to i najczęściej pojmuje ją, jako rozgrzeszenie za przeróżne gwałty, dokonane na Niemcach. Jest to rzeczą oczywistą, niepodlegającą żadnej wątpliwości dla każdego, kto zna psychikę ludu, skład jego umysłu, jego obyczaje i wyobrażenia oraz moralność pierwotna.

(c. d. n.)

Obserwator.

Z Cesarstwa.

Gazeta *Pridnieprowskij Kraj* przytacza nadzwyczaj ciekawe dane o kursie różnych papierów procentowych w zależności od wypadków bieżących. Otóż w ciągu trzech dni 2, 3, i 4 marca wahanie kursu było następujące.

Bank ros. dla handlu zewn.	343	340	348
Peter. bank międzynarod.	375	372	379
akc. Briańskie	167	165	168
„ Kołomieńskie	394	385	394
„ Putiłowskie	122	118	123
„ Bakińskie	414	401	418

Przytoczone dane są bardzo charakterystyczne i świadczą o tem, jak sfery handlowe całego świata reagowały na reskrypt Najwyższy, powszechnie uznany za akt zwołania reprezentacyi narodowej. Zdawaćby się mogło, że w takiej chwili najbardziej uświadomione jednostki w Rosyi, jednostki, których głosy mają znaczenie w całym świecie ucywilizowanym — powinny szeroko uzasadnić ideę konieczności takiego zwołania przedstawicieli, wskazać w jaki to sposób dokonanem być musi itd. Tak rzeczywiście było, i jedyny pod tym względem wyjątek stanowi hr. Lew Tołstoj. W liście wydrukowanym w gazecie *Times* „wielki pisarz ziemi rosyjskiej utrzymuje, że lud rosyjski wcale nie dąży do tego, do czego dążą z takiem zaparciem się siebie liberalni ziemianie, doktorzy, adwokaci, literaci, studenci i kilka tysięcy robotników, że marzy on tylko i wyłącznie o gminnem władaniu ziemią, że sfery w jego imieniu przemawiające, nic z nim wspólnego nie mają, że są oderwane od ludu... Twierdzi nadto, że prawdziwy lud — włościanie, nawet nie rozumieją o jakie swobody tym sferom chodzi, a gdyby wiedzieli, nie solidaryzowali by się z nimi, widząc, że i na zachodzie interesy włościaństwa nie są należycie uwzględniane.

Pisma rosyjskie ubolewają nad taką harmonią poglądów hr. L. Tołstoja i... gazety *Mosk. Wied.* mniemają, że „Les extremités se touchent.“ Niezupełnie się pod tym względem zgodzić z niemi możemy. Hr. Tołstoj przez cały czas swojej społeczno-politycznej działalności odznaczał się dwoistością. Zmarły Michajłowskij już dawno zaznaczył, że „prawicę“ Tołstoja należy zawsze odróżniać od „lewicy“... My byśmy do tej nader trafnej uwagi dodali, że niezawsze lewica wiedziała o tem, co robi prawica, czyli że całokształt poglądów Tołstoja był zawsze dosyć mglisty.

Celował on w krytyce istniejącego stanu rzeczy, ale jego środki zaradcze, program pozytywny zawsze niestety grzeszył naiwnością, brakiem uświadomienia. I obecny list stwierdza to po raz setny. Udoskonalenie wewnętrzne jednostki, dążenie do udoskonalenia, oderwanie od miejsca, czasu, przestrzeni, faktycznie istniejących stosunków politycznych i społecznych... niesprzeciwianie się złu. Nie po raz to pierwszy przepisuje Tołstoj taką kuracyę społeczeństwu rosyjskiemu i jeżeli na początku 8-go dziesiątka ubiegłego stulecia miał on posłuch u tego społeczeństwa, jeżeli go ono pasowało na swego mistrza, to tylko dla tego, że pod wpływem reakcyi zgnięło się, upadło moralnie, a teorye Tołstoja usprawiedliwiały gnuśną rzeczywistość tego społeczeństwa, dawały mu rozgrzeszenie. Obecnie stan rzeczy się zmienił. Społeczeństwo rosyjskie poszło naprzód, Tołstoj pozostał w tyle i dziś jego głos jest na szczęście głosem wołającego na puszczy.

K. O. N.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Posyłka.

Nasza opinia publiczna a przedewszystkiem prasa nie mogła się dotąd zdecydować, czy bezrobocie rolne ma u nas grunt podatny, czy też jest tylko „niedorzecznem małpowaniem“ ruchu fabryczno-robotnicznego, „sztucznie wytworzonem przez ludzi złej woli“. Pomimo pewnych, niepożądanych spostrzeżeń, dokonanych w rachunku wynagrodzenia służby folwarcznej a kwestyonujących wielce jej „względny dostatek“, byłby może głos ogółu oświadczył się za hypotezą „złej woli“, gdyby odmłodzony *Kuryer codzienny* nie wywlókł na widownię t. z. „posyłki“. Przedewszystkiem głęboko westchnąć musimy nad spospolitowaniem się gazet, które zamiast przebywać „na szczytach wiedzy i życia“, wchodzą do brudnych czworaków i stamtąd wyprowadzają zwyczajnych chłopców i dziewczyny, utrzymywanych obowiązkowo przez parobków jako stały, tanio opłacany najem dla gospodarstw folwarcznych. Następnie wyrażamy szczery żal, że zapomocą tej nieszczęsnej „posyłki“ zniewolono nas do niejakiego uznania słuszności żądań robotnika wiejskiego, niemogącego wraz z nią wyżyć z otrzymywanej obecnie pensyi i ordynaryi. Czytelnik łatwo zrozumie, że prasa, która pomimo swoich (tajemniczych i niedostrzegalnych) odcieni stoi murem w obronie interesów większej własności i wogóle warstw, dostarczających prenumeraty, nie mogła bez dotkliwego bólu serca ofiarować swego współczucia fornalom. Ale na pochwałę jej zaznaczyć trzeba, że wypowiedziała je półgębkiem i ze spuszczonemi oczami, tak że ostatecznie przy „dobrej woli“ możnaby wytłomaczyć jej postawę, jako życzenie, ażeby „posyłka“ przestała być co prędzej chmurą na ziemiańskiem niebie.

y.

Bezrobocie rolne.

Dotychczas objawy bezrobocia pośród służby folwarcznej i targi o podwyżkę wynagrodzenia wystąpiły nielicznie i w rozproszeniu. Najwięcej ich przypadło na gubernię Siedlecką. Typowym obrazem przebiegu tych krótkich fal jest opis z pod Włodawy zamieszczony w *Gazecie polskiej*. „Dnia 19 marca o godz. 12 w południe ujrzałem „gości”, tłumnie cisnących się do ganku. Byli to ludzie dworscy ze wsi okolicznych, parobcy i fornale.

Niezwłocznie wyszedłem do nich na ganek i zapytałem, czego sobie życzą?

Odpowiedź brzmiała katechizmowo: żądamy podwyższenia płacy ordynaryusza do 40 rb. rocznie, 18 korcy ordynaryi, 1 morgę pola, 2 krowy na oborze dworskiej i jeśli się j. w. pan dziedzic zgadza na to, to prosimy o wydanie wszystkich ludzi, których zabierzemy z sobą i pójdziemy dalej. Zostawimy tylko 4 do inwentarzy. Przytem jesteśmy głodni, prosimy więc o pożywienie lub pieniądze”. Wysłuchawszy tych żądań, odpowiedziałem, że ludzie moi są obecnie w kościele, że *owszem*—nie bronię im, niech idą, jeżeli mają chęć, a co do zadośćuczynienia postawionym żądaniom, to rzecz taka wymaga namysłu.

Nadto dałem im 6 rubli. Tłum, który przez cały czas zachowywał się zupełnie

spokojnie i nawet grzecznie, zaczął się rozchodzić. Na pożegnanie zapowiedziano mi jeszcze w formie również *uprzejmej*, *że najmitów* do pracy folwarcznej brać mi *niewolno*, bo mogą przyjść dla kontroli jeszcze dwa takie oddziały i wówczas „o kalectwo nie będzie *trudno*".

Tak samo się zachowują i to samo mówią wszędzie. W rezultacie cała okolica od niedzieli świętuje i nie mamy pojęcia, jak długo to potrwa".

Autor listu przypuszcza, że zgodność w stawianiu wymagań jest „zasługą agitatorów socyalistycznych", czyli że w położeniu robotników wiejskich nie leżą przyczyny, usprawiedliwiające ten ruch i jego jednorodność. Zaznaczyć należy, że przeciwko bezrobociu w formach ostrych, t. j. połączonemu z napadami i gwałtem, zwrócony jest świeży okólnik p. o. generał-gubernatora, grożący odpowiedzialnością przed sądem wojennym. Właścicielom folwarków przeto pozostaje tylko konieczność podwyższenia pensyi i ordynaryi dla swej służby. *h.*

W porozumieniu.

Pomiędzy dwoma dziennikami wywiązał się pojedynek na bicze, w którym do chłosty osobistej przyczepiła się pewna sprawa ogólna. Mianowicie: czy kłamliwa przechwałka w posiadaniu większej niż rzeczywista ilości prenumeratorów jest wykroczeniem? Czy gazeta, która zaręcza, że rozchodzi się w 120,000 egzemplarzy a rozsyła ich zaledwie czwartą część, dopuszcza się oszustwa? Odpowiedź etyczna nie zawiera żadnej wątpliwości, i kłamstwo tego rodzaju jest niemoralnem. Ale jak ta kwestya wygląda ze strony prawnej? Czy mogą za to pociągnąć redakcyę do odpowiedzialności? W pewnych wypadkach — tak. Bo jeżeli np. w dzienniku zamieszczam drogo opłacane ogłoszenia dlatego jedynie, że on dostaje się do 120,000 abonentów, podczas gdy w rzeczywistości jest ich tylko 30,000, to jestem wprowadzony w błąd i wyzyskany. Czemu jednakże, dowiedziawszy się o tem, nie występuję ze skargą do sądu? Czemu, o ile wiadomo, nikt dotychczas na tę drogę nie wystąpił? Czy przez zwykłą nam niezaradność i łatwe poddawanie się wszelkiej zuchwałości? Nie, tolerujemy to nadużycie dlatego, że ono nie jest wcale oszustwem, nikogo nie wprowadza w błąd i nikogo nie wyzyskuje, bo... nikt mu nie wierzy. Publiczność ukształcona ma wielką wprawę w należytem odczytywaniu zapewnień wydawniczych, ona wie, że 120,000 to znaczy najwyżej 30,000, że ta liczba prenumeratorów jest rodzajem rubli asygnacyjnych, których wartość rzeczywista jest tylko częścią normalnej. *d.*

Jednodniowa kaczka.

Przez 24 godziny społeczeństwo nasze pozostawało pod silnem wrażeniem plotki, zaczerpniętej z *Now. Wremia* i przysłanej telegraficznie do *Kuryera Warszawskiego*, jakoby komitet ministrów uchwalił w zasadzie spolszczenie u nas szkół elementarnych i średnich. Wiadomość tę nazajutrz odwołano. Ażeby wszakże inna kaczka tego rodzaju nie mogła wyłądz się ponownie, należy stwierdzić fakt, że komitet ministrów wogóle stoi ogromnie daleko od takiego zamiaru, że najdalej idącą w nim propozycyą jest dopuszczenie języka polskiego, jako wykładowego do szkół początkowych całkowicie a do średnich częściowo, że dotychczas ta nawet propozycya nie ma zapewnionej większości w komitecie, że wogóle przędzy do rojeń brak. Dowodzi tego stanowczość zaprzeczeń urzędowych. Stwierdza również Reskrypt Najwyższy, wydany na imię generał-gubernatora warszawskiego. „Podstawowa zasada organizacyi szkolnictwa w Kraju Nadwiślańskim —mówi *Warsz. Dn.*—zapewnie nie ulegnie tak rdzennym zmianom, aby ministeryum oświaty musiało — jak donosi *Now. Wremia* — wypracować specyalny projekt przekształcenia". To sprostowanie jest bardzo cenne, bo rozwiewa iluzye. W sprawach publicznych należy przedewszystkiem nie łudzić się. *o.*

Wzory fejletonu.

Z nowych form fejletonu warszawskiego polecamy uwadze czytelników dwie, najpiękniej zdobiące i zbogacające naszą publicystykę.

Wzór pierwszy. Odebrałem wczoraj kilkadziesiąt listów, tworzących całkowitą klawiaturę naszego społeczeństwa, z braku wszakże miejsca pozwolę odezwać się jednemu tylko tonowi. Któraś z miliona uwielbiających mnie czytelniczek pyta: jak rozwiązać splątany węzeł szkolny? Jestem szczęśliwy, że mogę dać radę prostą i skuteczną. Już Rysiński zauważył, że „białogłowie przystoi rozporek, ale nie toporek," a w *Momusie* powiedziano: „Kiedy imci pan Moczygęba wyszedł po libacyi przed dwór, ujrzał żółtego psa, wygryzającego sobie pchły w ogonie, a sądząc że to wielki obwarzanek, schwycił go, wniósł do komnaty i rzuciwszy na stół zawołał: przekąście waszmości po małmazyi. A pies tego nie zauważył i dalej zwinięty w krąg gryzł sobie ogon", Jest to mojem zdaniem najpewniejsza droga w tej sprawie, szanowna pani.

Wzór drugi. Z czarnych, kudłatych, przetkanych piorunami niby złotemi szpilkami w cudnych kędziorach pani Zofii, wysunęła się wstrętna, sucha, żylasta, z zakrzepłą krwią za paznokciami ręka dzikiego radykalizmu, która pokazała „figę" w kierunku najczcigodniejszych głów, męką i pracą publiczną osrebrzonych. Zrozumiałem, na co się narażam, powstałem jednak gwałtownym, potężnym, tragicznym ruchem, krzyknąwszy: „Uderz, jeśli śmiesz!"—czekałem daremnie—pięć, dziesięć minut—nikt mnie nie trącił, nawet owa ręka znikła, chociaż przysięgam przed majestatem wszystkich łez i śmiechów ludzkich, że ją wyraźnie widziałem, że była... Pragnąłbym tak zgrzytnąć zębami, ażeby ten dźwięk zagłuszył skrzypienie kół u nienasmarowanych wozów przez wieki, pragnąłbym tak kichnąć, ażeby wszystkie ciała niebieskie w przestrzeni zawołały: na zdrowie! Ale nie tobie, ohydny upiorze, tylko mnie, który raz na dzień rozdzieram na sobie szaty kapłańskie w nadziei, że mi je urocza pani Zofia własną rączką zszyje. A czy ty czerwony szatanie masz taką szwaczkę? *n.*

Jak to jest!

Otrzymaliśmy następujące zawiadomienie;

„Podczas, gdy zakłady przemysłowe i domy handlowe, ulegając żądaniu swych pracowników, a różne instytucye społeczne z własnej (?) inicyatywy, w większym lub mniejszym stopniu zajęły się poprawieniem bytu swego personelu, wielce dziwne stosunki panują w stowarzyszeniu nauczycieli—żydów m. Warszawy. W stowarzyszeniu tem woźny, który obowiązany jest znajdować się w lokalu od g. 8 rano do 11 wieczorem, z nieokreśloną przerwą na obiad, pobiera pensyi 12, wyraźnie *dwanaście* rubli miesięcznie. Inkasent zaś pobierając minimalną pensyę stałą i prowizyę od inkasowanych sum, zarabia miesięcznie najwyżej 25 rb. Z tego hojnego wynagrodzenia on musi utrzymywać matkę a woźny rodzinę. Mieszkania w naturze żaden z nich nie otrzymuje. Przy zaangażowaniu wzięto od nich deklaracyę, że mogą być w każdym czasie wydaleni za miesięcznem i twutygodniowem wypowiedzeniem miejsca, czem zarząd pragnął sparaliżować moc obowiązującego u nas prawą zwyczajowego, wedle którego pracownikom należy wymawiać posady conajmniej na 3 miesiące naprzód. Pod koniec roku ubiegłego zarząd tej instytucyi zamieścił w etacie na r. 1905 podwyżkę pensyi woźnemu aż o *trzy* ruble miesięcznie, ale ponieważ ogólne zebranie się nie odbyło, dawne wynagrodzenie dotychczas się utrzymuje. Inkasentowi podwyżki zarząd nawet nie proponuje.

Panowie członkowie stowarzyszenia powinniby wejrzeć w tę sprawę, bo doprawdy przykład taki, idący ze strony korporacyi nauczycielskiej, jest bardzo ...niepedagogiczny."

Autor zawiadomienia uważa, że przykład taki jest niepedagogiczny. Bez kwestyi. Ale cała ta sprawa ma jeszcze inną bardzo poważną stronę, właściwą nietylko stowarzyszeniu pedagogów. Ilekroć ktoś w piśmie wskaże taki fakt, zainteresowani natychmiast wrzeszczą w niebogłosy. „Caveant consules! Gwałtu! Pracowników przeciwko pracodawcom podburzają...!" I zwalczany takiemi argumentami śmiałek milknie.

„Miłe jest Bogu aniołów pienie, lecz stokroć milsze człeka milczenie!"—moralizują go zawsze gotowi do usług możnych publicyści, a nędzarze dalej cierpią głód wraz z rodzinami... Gdy po pewnym czasie pracownik traci cierpliwość, dopuszcza się ekscesów, dla niego samego najbardziej zgubnych, ci sami co w porę o nim nie pomyśleli i innym w jego sprawie głosu zabrać nie dawali, znowu biją na alarm... I żadnemu z nich nawet do głowy nie przyjdzie, że znaczna część winy za te ekscesy spada na nich...

Gdyby to sobie uprzytomnili, gdyby pod tym względem zostali uświadomieni, o wiele mniej łez i cierpień byłoby na świecie. *f. e.*

Hygiena zawodowa.

Sprawozdanie z ostatniego posiedzenia rady Towarzystwa hygienicznego pomieściło wiadomość o postanowieniu urządzenia zebrania wydziału hygieny zawodowej, celem omówienia organizacyi lekarskiej dla pracowników biurowych i fabrycznych. Jak wiadomo w żądaniach, z któremi występowali robotnicy, pomieszczona była i kwestya pomocy lekarskiej, rozszerzenia jej na rodziny, zwiększenia liczby lekarzy itd. Do tych słusznych żądań możnaby dodać jeszcze jedno, zwrócone już nie do fabrykantów, lecz do samych panów lekarzy, oto, aby przestali posady fabryczne uważać za wygodne synekury i więcej staranności wkładali w pełnienie swych obowiązków. Z niektórymi wyjątkami lekarz fabryczny traktuje robotników, przychodzących po poradę, jak niepłacących chorych, których się ogląda z łaski. Pomijam już kwestyę niegrzecznego obchodzenia się, gdyż pracujący sami potrafią nauczyć go „moresu". Lekceważenie przyjęć ambulatoryjnych, wizyt u chorych do dziś dnia jest nałogiem niewykorzenionym. A przecież pensya, którą lekarz pobiera, płatna jest z tego, co robotnicy zarobią i pomoc jego jest jednym z warunków umowy między fabrykantem a pracującym. Małość pensyi nie tłomaczy nikogo i nie uwalnia od sumiennego wypełniania obowiązków. *br.*

Niespodzianki.

Jesteśmy w okresie stałych zagadek. Co chwila występuje jakaś niespodzianka, a my nie możemy wobec niej zachować zimnej krwi i zaraz tracimy głowę. Pomimo dość silnego ożywienia życia w ostatnim czasie nie znaleźliśmy jeszcze takiego punktu oparcia, któryby nas zabezpieczał od ciągłych wahań się i zawracań. Bezwątpienia męczarnią jest absolutne niepodobieństwo przewidzenia, co jutro będzie. Dziś nikt chyba nie może powiedzieć, jak świat

będzie wyglądał za parę miesięcy. Lecz nie wolno zamykać oczu i mówić: niech się dzieje, co chce, lub wypatrywać gońców z dalekich stron. Kto ma w duszy własny ideał, kto ma w sobie wielkie pragnienie życia, ten obowiązany jest nie uchylać się, lecz brać udział w tem, co się robi, stosować swe czyny do wymagań chwili. Niespodzianki nużą i niepokoją, lecz im większa przeszkoda, tem większe powinny być siły, im większa niepewność, tem większa wytrwałość. Przyszłość jest zagadką nierozwiązalną tylko dla ospałych filistrów lub maruderów przeszłości; ci, co żyją, powinni mieć śmiałość wyjścia na spotkanie mroku zagadki kształtowania jej według swych potrzeb. *z.*

BADANIA NAUKOWE

Dwaj etnologowie.

Adolf Bastian i Eliasz Reclus.

Adolf Bastian, który umarł niedawno, dożywszy 80-tego roku, był patryarchą etnologów i niejako uznaną ich głową. Jako lekarz okrętowy (pochodził z Bremy), już w szóstym lat dziesiątku ubiegłego stulecia, odbył olbrzymią, ośmioletnią podróż, podczas której zwiedził Australię, Peru, Meksyk, Kalifornię, część Chin, półwysep malajski, Indye Wschodnie, Syryę, Palestynę, Arabię i Egipt, następnie w Afryce dotarł do San Salwador, stolicy państwa Kongo, w której już od dwóch wieków nie postała noga żadnego Europejczyka, następnie przejechał wzdłuż i wszerz całą Europę i wreszcie, na podstawie tych wszystkich podróży, wydał w r. 1860 trzytomowe dzieło. p. t. „Człowiek w historyi, próba uzasadnienia psychologicznego poglądu na świat.“ Było to kolosalne nagromadzenie faktów, przeważnie osobiście stwierdzonych, prawdziwa kopalnia obserwacyi, chaotyczna, pozbawiona wszelkiej pretensyi do ładu i jakichkolwiek zalet estetycznych, ale bardzo pouczająca i ułatwiająca drogę dalszym poszukiwaniom. Podobny charakter noszą i liczne inne jego dzieła, pisane albo na podstawie nowych podróży (do Birmy, Syamu, Kambodży, Japonii, Persyi, Afryki centralnej) albo studyów teoretycznych: monografia o narodach Azyi wschodniej, „Przyczynki do psychologii porównawczej“, „Pierwiastek stały w rasach ludzkich i granice ich zmienności“, „Filozofia buddyzmu,“ „Stosunki prawne u różnych ludów,“ „Wyobrażenia o duszy,“ „Ogólne zasady etnologii“ i t. d. i t. d.

Od r. 1869 był redaktorem berlińskiego dwumiesięcznika „Zeitschrift für Ethnologie,“ jednego z najpoważniejszych i najbardziej w tej dziedzinie znanych organów, a także dyrektorem berlińskiego muzeum etnograficznego. Na uniwersytecie wykładał również swój ulubiony przedmiot.

Dzieła Bastiana są, jak mówili scholastycy, studnią uczoności, ale pić z tej studni ma odwagę chyba niewielu specyalistów. Są one niesłychanie ciężkie, pisane stylem tak zawiłym, że nie dorównywa mu może pod tym względem ani jeden pisarz niemiecki, przepełnionym zdaniami podrzędnemi, a nawet wprost nawiasami, wyrazami i całemi wstawkami greckiemi, łacińskiemi, francuskiemi, angielskiemi itd. Wygląda to, jak gdyby autor chciał odstraszyć wszystkich profanów. Istotnie, nieraz oświadcza on, że jest wrogiem przedwczesnej popularyzacyi etnografii. Nic łatwiejszego, mówi, jak o ludach obcych i pierwotnych pisać i mówić zajmująco, niemal powieściowo, bo przecie pociąga do tego sama niezwykłość i egzotyczność ich obyczajów. Publiczność też bardzo chętnie czyta takie rzeczy, traktując opisy podróży prawie, jak romanse, ale dla etnologii, jako nauki, jest to rzecz bardzo niebezpieczna. Albowiem nikt nie może wymódz tego na sobie, żeby podawał same tylko fakty, taki publiczności podobający się popularyzator, będzie się zawsze starał przeprowadzać porównania pomiędzy cywilizacyą a dzikością, wygłaszać poglądy o wyższości jednej lub drugiej, budować hypotezy, tłomaczące ogólnie pewne zjawiska z życia ludzkości. Tymczasem podług Bastiana na to wszystko zawcześnie. Etnologia potrzebuje wyłącznie sobie oddanych pracowników mrówczych, którzyby bez odpoczynku gromadzili i sprawdzali fakty. Jest to tem konieczniejsze, że wiele ludów pierwotnych ginie, wymiera, i jeśli badacze się nie pospieszą, to zniknie im nazawsze z przed oczu niezwykle cenny materyał. Uogólnienia i teorye będą dopiero dziełem przyszłych pokoleń.

Jednakowoż sam Bastian, choć położył olbrzymie zasługi na polu gromadzenia i sprawdzania faktów, stworzył sobie także pewną teoryę ogólną, przynajmniej o znaczeniu i wartości etnologii dla całokształtu nauk społecznych, teoryę, którą wypowiada bardzo często a streszcza w niemniej od innych ciężkiem i niestrawnem, ale krótszem dziełku p. t. „Der Völkergedanke im Aufbau einer Wissenschaft von Menschen und seine Begründung auf ethnologische Sammlungen“ (1881). Jego ideą przewodnią, można powiedzieć comteowską, jest oparcie psychologii człowieka na gruntownem zbadaniu *wewnętrznych* objawów jego działalności duchowej. August Comte szukał i mógł szukać tych objawów jedynie w historyi właściwej, w historyi pisanej; Bastian rozszerza pole widzenia, wprowadzając wszystkie ludy dziejopisom fachowym nieznane, co jest naturalnie olbrzymim postępem. Często on nie szczędzi nawet pewnej, pobłażliwej ironii historykom i historyozofom, którzy zamykają się w granicach świata żydowsko-grecko- rzymsko-germańskiego i przy pomocy tak ograniczonego materyału płodzą swoje konstrukcye. Bastian sądzi, że może zgóry sformułować przynajmniej jedną zasadę podstawową tej psychologii człowieka, którą odkryje etnologia, ponieważ na niej opiera się cała jego szeroka metoda porównawcza, mianowicie: zasadę jedności i tożsamości duchowej człowieka we wszystkich rasach, klimatach i częściach świata, która sprawia, że bieg rozwoju wierzeń i instytucyj jest w ogólnych zarysach wszędzie podobny.

Z tego wynika, że badanie ludów pierwotnych, jako społeczeństw prostszych, ale pokrewnych, może ułatwiać zrozumienie bardziej złożonych zjawisk życia cywilizowanego. Myśl tę wypowiada on w następującem zdaniu, które tu przytoczymy, w wiernem o ile możności tłomaczeniu, ażeby dać także próbkę stylu Bastiana: „W organizmie społecznym, jak w każdym wogóle organizmie, muszą być połączone wszystkie składniki, które należy uważać za warunki istnienia organicznego, (bez których ono właśnie wcale by istnieć nie mogło) tak, że wszystkie zagadnienia, nurtujące życie najdoskonalszych ludów cywilizowanych, muszą nam odsłonić swe analogie już w życiu najniższych ludów pierwotnych w jakiejkolwiek formie, chociażby może z początku tylko zarodkowej, a ponieważ w takich najmniejszych organizmach, przy ich najprostszej przejrzystości, łatwiej jest oznaczyć krótkim rzutem oka w odpowiedniem miejscu wszystkie charakterystyczne i krytyczne punkty zwrotne i krzyżowe, to niechże one dla bardziej złożonych cudów stworzenia (gdzie na manowcach czystej spekulacyi, na wszystkie strony się otwierających, grozi co chwila zabłądzenie) dostarczą nam nici przewodniej, ażebyśmy mogli ująć dane w normy prawidłowe“.

Jak wszyscy prawie uczeni niemieccy z drugiej połowy zeszłego stulecia, Bastian żył w zupełnem oderwaniu od kwestyi i walk społecznych, nurtujących życie współczesne. Próbował on czasami zbudować jakiś most, odkryć jakiś łącznik pomiędzy swojemi badaniami a dzisiejszą kwestyą społeczną, lecz wynikały z tego co najwyżej takie naiwne i niejasne twierdzenia, jak to, wygłoszone również w cytowanej rozprawce „Der Völkergedanke“, jakoby dzisiejsze zawikłania polegały głównie na tem, żeśmy zatracili pojęcie „człowieka przeciętnego“ i że etnologia pozwoli je nam nawo odnaleźć, dzięki badaniu ludów pierwotnych. Pod tym względem zupełnem przeciwieństwem Bastiana był jego kolega i rówieśnik Eliasz Reclus, który, urodzony w 1827 roku, umarł na kilka miesięcy przed Basianem w Brukseli, gdzie od założenia uniwersytetu Nowego wykładał historyę porównawczą religii. Jest to jeden z tych pięciu braci Reclus, z których każdy odznaczył się na jakiemś polu naukowem: najmłodszy Paweł jest wybitnym chirurgiem, a najstarszy po Eliaszu Elizeusz—najsławniejszym z geografów współczesnych, autorem pomnikowej „Geografii powszechnej„. Wszyscy oni są synami pastora protestanckiego z Francyi południowej i wychowali się w tych tradycyach hugonockich, które pełne są wspomnień o cierpieniach i męczeństwach za przekonania, — protestach przeciw ich uciskowi, i całe przesiąknięte duchem krytyki indywidualnej. Eliasz Reclus spędził lata młodzieńcze w Neuwied nad Renem, wśród jednej z gmin braci morawskich, gdzie te tradycye są może jeszcze silniejsze, a przytem połączone z komunistycznemi, później kształcił się sam na pastora. Lecz jeszcze nie skończył studyów, a już rok 1848 i później 1851 rzucił go w wir walki społecznej i politycznej, w której oczywiście znalazł się po stronie słabszych, zwyciężonych i musiał opuścić Francyę. W Strasburgu otrzymał był doktorat teologii za tezę o „Zasadzie autorytetu“, w której bezwzględnie przeczył tej zasadzie. W kilka lat później wrócił do Paryża, ale zerwał już zupełnie z zawodem duchownym, zapoznał się z popularnemi jeszcze wówczas w niektórych kołach doktrynami saint-simonizmu i fourieryzmu, oddał się ideom kooperacyi i kredytu wzajemnego, które wtedy miały tak wielu zwolenników wśród klasy robotniczej, redagował pismo, a podczas Komuny, raniony w rękę, przyjął stanowisko dyrektora biblioteki narodowej, w której wprowadził kilka dotychczas utrzymujących się reform pożytecznych. Za to naturalnie musiał się ukrywać i uciekać — dopiero do wydania amnestyi mógł powrócić do Paryża, gdzie otrzymał miejsce bibliotekarza w wielkiej księgarni Hachette'a i dozorował tam wydawnictwa „Geografii powszechnej“ swego brata. Do końca życia nie przestał interesować się żywo kwestyami społecznemi, a także artystycznemi, o jednych i drugich pisywał wiele ciekawych studyów do pism francuskich i obcych (między innemi do rosyjskiego „Dieła“ postępowego.

Wszystko to jednak nie przeszkodziło mu stać się znakomitym specyalistą w dziedzinie etnologii, a szczególniej mitologii porównawczej. Już w r. 1868 nakreślił „program mitologii powszechnej“, który później wykonał w szeregu dzieł: o legendach tatarskich, literaturze turkomańskiej, obrzezaniu, „Legendach o Orfeuszu“, „Diakologii“, kogucie i kurze w baśniach ludowych, i mnóstwie artykułów drobniejszych.

De Greef twierdzi, że prace te, gdyby je uporządkowano i wydano razem z wykładami w Uniwersytecie Nowym utworzyły-

by mitologię porównawczą powszechną, niemniej pomnikową, niż „Geografia“ Elizeusza. W działach o „Umysłowości dzikich“ i o „Psychologii ludów pierwotnych“ pisanych z prawdziwem zamiłowaniem przedmiotu Reclus uległ trochę naturalnemu przy jego przekonaniach popędowi do idealizacyi stosunków pierwotnych, jako przeciwieństwa walk i nierówności społecznych naszej cywilizacyi. Dodajmy wreszcie, że hołdem dla jego zasług naukowych było powierzenie mu przez redakcyę Encyklopedyi brytańskiej artykułu o etnologii i etnografii.

Eliasz Reclus żył życiem otaczającego społeczeństwa, kochał lud, nie wahał się w popularnych odczytach nieść mu wiedzę i oświecać go o względności i zmienności panujących pojęć moralnych i religijnych, do czego etnologia tak znakomicie się nadaje. Życiem swojem i pracą dowiódł, że nie trzeba być zasuszonym molem gabinetowym, ani ciasnym fachowcem, ażeby przynieść prawdziwy pożytek nauce.

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA

ZE SZTUKI.

Wystawa Stowarzyszenia pod firmą „Sztuka“ w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

Pod nazwą „Sztuki“ grono artystów urządziło w ciągu lat kilku cały szereg wystaw. Ogniskiem ich był Kraków a kółkiem organizującem — profesorowie krakowskiej Akademii i ich uczniowie. W ten sposób „Sztuka“ zachowuje specyalne zabarwienie i jest niejako wyrazem tego, co się tworzy w kołach artystycznych, grupujących się przy Akademii.

Wystawy zbiorowe mogą być dwóch rodzajów: zamknięte w zakresie pewnej grupy artystów i dostępne dla wszystkich, którzy się zgłoszą z dziełem uznanem przez sąd wystawowy za dobre.

Tego ostatniego typu są u nas wystawy: „Okrężna“, mająca swe główne siedlisko również w Krakowie i „Doroczna“ z siedliskiem w Warszawie, która dopiero po raz pierwszy wystąpiła niedawno przed naszą publicznością.

Ten ostatni typ wystaw najszerzej służy sztuce prawdziwej, bo z zasady nie zacieśnia się ani w wyborze artystów, ani w dopuszczaniu różnych dzieł. Nie pytają o kierunek, jakiemu kto hołduje, byleby rezultaty były artystyczne. Nie sprawdzają, czy należy do „paczki,“ lub czy jest kolegą, przyjacielem lub uczniem jednego z matadorów danego kółka. Swój czy obcy, sympatyczny czy unikany w życiu prywatnem — jednakowo ma dostęp. Nie dopuszcza się tu ludzi, lecz dzieła.

Innym typem jest wystawa pod firmą „Sztuki,“ lub wystawa „Wiosenna“ urządzana od paru lat w Salonie Krywulta. Są to kółka zamknięte. Zaprasza się jednych a nie zaprasza innych. Z własnej parafii wszyscy są dobrzy a z innych wszyscy źli. W tym roku znaleźli się na wystawie „Sztuki“ wszyscy nauczyciele warszawskiej szkoły sztuk pięknych.

W ten sposób kółko profesorów Akademii krakowskiej połączyło się z kółkiem nauczycieli szkoły warszawskiej, pierwszych inicyatorów wystaw „Wiosennych“.

Miło byłoby usłyszyć o połączeniu krakowskiej „Okrężnej“ z warszawską „Doroczną.“ Wówczas dwa odrębne typy wystaw mogłyby się wyrazić bez rozpraszania sił w dwóch nadających się do porównań organizacyach. Uprzejmość i idea równości bez ograniczeń powinna tak w „Okrężnej“ jak i w „Dorocznej“ trzymać drzwi otworem dla wszystkich, nawet i dla tych, co się barykadują w swej krakowskiej „Sztuce“ lub warszawskiej „Wiosennej“. Uprzejmość ta w urządzaniu niedawnej wystawy „Dorocznej“ poszła nawet bardzo daleko, gdyż do grona sędziów wybrano kilku artystów, wystawiających w „Sztuce“ i na „Wiosennej“. Można było spodziewać się, że ci artyści, albo przyjmą mandaty i jednocześnie na dowód sympatyzowania z nową organizacyą nadeślą swe prace albo nie zechcą dla jakichkolwiek powodów wziąć udziału w wystawie, nie przyjmując również i godności sędziów. Stało się inaczej. Udziału w wystawie nie wzięli, ale uznali za możliwe zasiąść w sądzie.

Jeśli tak obszernie zastanawiamy się nad organizacyą wystaw, to dla wyprowadzenia wniosków, czy takie wystawy koteryjne mają racyę bytu i znaczenie pod względem *artystycznym*, czy też trzeba je uważać tylko za zręczne zgrupowanie się w celu zdobycia pewnych wygód i przywilejów ubocznych.

Jeśli szewcy, lub stolarze mogą się łączyć zakładając wspólne sklepy, jeśli rolnicy tworzą spółki rolne, to dla czegóżby jakieś grono artystów nie mogło urządzać wystawy z dzieł swoich. Jest to słuszna zabiegliwość i piecza nad własnymi interesami zawodowymi. Odrębność *artystyczną* i specyalne znaczenie dla sztuki miałyby one tylko wtedy, gdyby chciały być wyrazem jakiegoś świadomego i ideowego kierunku w sztuce. Rozumielibyśmy taką wystawę impresyonistów, symbolistów, prymitywistów lub innego kierunku wyznawców, którymby psuło ogólny nastrój wystawy sąsiedztwo z innymi kierunkami. Możliwą też jest odrębna wystawa akwarelistów, pastelistów itp., a to dla zgromadzenia prac jednakowemi środkami wykonanych.

Jaka jednak nić łącząca może być między freskiem Mehoffera „Trójca Św.“, pojętym archaicznie, Chełmońskiego obrazem z przed kilkudziesięciu laty p. t. „Na folwarku“, malowanym według dawnych zasad monachijskich i „Kroniką dnia“ Wyspiańskiego, będącą szeregiem notat nerwowych w duchu całkiem dzisiejszym?

Czy prarafaelistyczne naśladownictwa Unierzyskiego z główkami wypieszczonemi i rozanielonemi, a krajobrazem kamiennie twardym, czy rozmglone postacie Boznańskiej lub szarże portretowe Krzyżanowskiego mają coś między sobą wspólnego?

Można odpowiedzieć, że mają, bo we wszystkich przejawia się talent. Wybornie! Ale przecież jury każdej wystawy dba o to, żeby nie dopuszczać dzieł złych i niezdradzających talentu. Kwestya więc dałaby się ograniczyć do tego, *jaki* stopień surowości stosują tu przy segregowaniu dzieł nadsyłanych. Czy sąd organizatorów „Sztuki“ wypada wyjątkowo surowo? Bynajmniej. Spotykamy tu prace najrozmaitszej wartości. Arcydzieł nie znajdujemy, ale niestety i na innych wystawach trudno byłoby się ich doszukać. Kilkanaście prac namalowanych z talentem i ciekawych, a większość to produkcye mniej więcej zwykłego poziomu przeciętnej naszej wystawy z tą różnicą, że obok nich sporo jeszcze jest szkiców i notatek niby w charakterze mistrzowskich maznięć pędzla, a w rzeczywistości tylko pretensyonalnych robótek, niesięgających nawet owego poziomu przeciętnego.

Skąd te prace mogły się tu zjawić? Odpowiedź bardzo prosta: „autorowie należą do tej samej „paczki“. Zatem musimy uwierzyć, że „Sztuka“ nietyle ma na względzie służenie *sztuce*, co trzymanie się mocno za ręce. Gromada — to wielki człowiek, mówi przysłowie, więc idą gromadą, bo tak im łatwiej przez życie się przepchać.

Typowi „przepychacze“ znani są na wystawach zagranicznych i trzymają się następującej metody naturalnie wykonalnej tylko dla firm cokolwiek już znanych: posyłając kilka prac poważniejszych dbają o to, żeby obok nich wystawić trochę małych szkiców, notatek, bukiecików, martwych naturek itp. Wyciąga się je z wszystkich kątów pracowni lub maluje na poczekaniu między jednym papierosem a drugim. Podpisane całem nazwiskiem, oprawione w eleganckie ramy, ba, nawet często włożone z pietyzmem pod szkło, niby w obawie groźnego zakurzenia, pysznie nadają się do handlu. Ktoś chciwy pozorów a w rzeczywistości całkiem obojętny dla sztuki, kupuje chętnie takie bogato oprawne *petits riens* podpisane głośnem nazwiskiem, aby za tanie pieniądze módz powiedzieć, że i w jego salonie wiszą dzieła tylko takich artystów, jak X. Y. Z...

Dok. nast.

Sierp.

SPRAWY EKONOMICZNE

Polityka handlowa

a klasy rządzące w Niemczech.

W miarę, jak agraryusze tracą nietylko obce rynki, ale i na własnych pod obcem natarciem muszą się wyrzec monopolu, wolny handel przestaje służyć ich interesom. Stał się im niepotrzebnym, nawet szkodliwym, więc też razem z wszystkimi argumentami, zużytymi w jego obronie, został odrzucony między rupiecie bez żadnego sentymentalizmu, który nakazywałby choć czas jakiś obstawać przy zasadach, podtrzymywanych z takim wydatkiem pięknych słów i rzeczywistej energi. Żądanie ceł ochronnych stanęło znowu na porządku dziennym, wysunięte tym razem już przez agraryuszów.

Tymczasem zwycięztwo niemieckiego oręża i francuskie miliardy odszkodowania wojennego rozbudziły istną gorączkę życia przemysłowego, jakąś tropikalnie rozbujałą wytwórczość, która po krótkich, rozszalałych latach zakończyła się strasznym przełomem. Deszcz złota zamienił się w powódź towarów, zalewających bez widoków ujścia rynki, na które Francya i Anglia, walczące z przesileniem, poczęły też wysyłać nadmiar własnych zapasów, których obfitość równała się klęsce. Trzeba się było ratować nie przed wyższością obcego przemysłu, lecz przed skutkami własnego, umiejętnego stosowania techniki i pracy, które w danych warunkach społecznych uczyniło balastem nagromadzone w magazynach fabrykantów bogactwo towarowe. Nie słabe jeszcze, ale właśnie *najlepiej* rozwinięte gałęzie przemysłu zostały dotknięte najciężej, one więc osłonić musiały zbyt krajowy przed taniością obcego dowozu, przedłużającego ich stan chorobliwy. Ochrona granic stała się więc potrzebną: tak przyszedł do skutku sojusz pomiędzy agraryuszami a przemysłowcami, przypieczętowany taryfą z r. 1878, wprowadzającą wysokie cła na towary przemysłowe, surowe, zboże i bydło.

Rząd niemiecki chętnie użyczył posłuchu koalicyi, obliczonej na kieszenie konsumentów. Wydatki na cele mocarstwowe wciąż wzrastały, militaryzm domagał się coraz to większych ofiar, zaś projekty nowych podatków spotkałyby się albo wprost z od-

mową posłów mieszczańskich lub przynajmniej z ogromnymi trudnościami. Cła więc zapewniały narodowi dochód wolny od ciągłej kontroli parlamentarnej, wdzięczność partyj, wyzyskujących pod ich osłoną rynek i usługi pozostającej na ich żołdzie prasy. Zamiast żądać nowych podatków niepopularnych, wolał przeto Bismarck, łącząc z operacyą finansową i akcyę polityczną—zgodę parlamentu na prawa wyjątkowe przeciw socyalistom, wzmocnienie wpływów konserwatywnych itd., przystać na wysoką taryfę celną, przedstawianą na wstępie przez rządzącą i korzystającą z niej klikę oraz jej zauszników, jako czyn wielkiej rozwagi politycznej, patryotyzmem dyktowaną ochronę „pracy narodowej." To miano nosi bowiem teraz kapitał i renta, o ile może i umie nagiąć politykę państwową do swych własnych celów.

Upadek Bismarcka, pozbawiając junkrów tak przemożnego sprzymierzeńca, osłabił też ich wpływ na stosunki handlowe. Kapitał niemiecki swoją obrotnością, umiejętnem zastosowaniem się do zapotrzebowania, zręcznością i rzutkością w odszukiwaniu odbiorców w wielu gałęziach przemysłu dopędził Anglię a nawet ją tu i owdzie ubiegł już na obcych rynkach. W cłach wysokich, które zaraźliwy przykład Niemiec wywołał dokoła, znajdował przykre pęty—dające się usunąć tylko za cenę ulg dla importu obcego zboża i bydła. Brak przytem traktatów handlowych dozwalał agraryuszom w latach ośmdziesiątych każdą zniżkę cen zboża zamorskiego, zagrażająca zniweczeniem ceł, sparaliżować co rychlej podniesieniem odpowiednich pozycyi taryfowych. Wywołując represalia zagranicą, utrudniał on przemysłowcom kalkulacyę i musiał budzić chęć zerwania z taryfą autonomiczną.

Przeprowadzone przez Capriviego traktaty handlowe 1893 r., dające w jej miejsce cła, obowiązujące (będące wynikiem układów między państwami) uwzględniały przeważnie życzenia kół przemysłowych — wychodząc częściowo z założenia, że rolnictwo, które nie może zaspokoić zapotrzebowania krajowego, i z roku na rok daje większy deficyt produkcyi, z konieczności pokrywany dowozem, innej potrzebuje ochrony. Agraryusze uważali je za wyzwanie do walki, na które odpowiedzieli skupieniem całych sił swej organizacyi bojowej w „Związku ziemian", który na przyszłość, z upłynięciem terminu traktatów Capriviego, miał wprowadzić na inne tory politykę handlową Niemiec.

Że zbroili się niedarmo, tego dowodem traktaty handlowe z Rosyą, Austro-Węgrami, Włochami, Belgią, Szwajcaryą, Rumunią i Serbią przyjęte dnia 22 lutego r. b. przez parlament niemiecki ogromną większością głosów. Znaczą one zwrot stanowczy ku polityce bismarckowskiej, której celem było zapewnienie junkrom pruskim przewagi gospodarczej i z nią przemożnego wpływu w państwie. Trzy miliony głosów socyalistycznych oddanych przy ostatnich wyborach do parlamentu zastraszyły rząd i partyi, niecofającej się w wrazie potrzeby przed najbardziej reakcyjnym czynem, nową nadały wartość. Szukając z konieczności „równoważnika" mającego opóźnić i powstrzymać zbyt szybki pęd w górę niższych warstw społecznych", znalazły go naturalnie w ziemiaństwie. Myślą przewodnią w zawartych obecnie traktatach handlowych, niemieckich były też względy natury nie gospodarczej lecz państwowej—chęć utrzymania i nadal szlachty na wyżynach przewodniej klasy narodu.

Koszta zaś tej polityki, która cłami podtrzymuje nieekonomiczną produkcyę, nie żeby ją wychować i poprowadzić ku swobodzie lecz by jej dać możność produkowania coraz to drożej, ma ponosić ogół spożywców a przedewszystkiem klasa robotnicza. Nowe traktaty ściągają na robotników niemieckich dwie najcięższe w doli ich plagi: wysokie ceny środków żywności i zmniejszone zapotrzebowanie siły roboczej. Wzamian za podwyższenie ceł agrarnych musiały Niemcy przyjąć w taryfach traktatowych podwyższenie ceł przemysłowych innych krajów, utrudniające eksport niemiecki. Fabrykanci otrzymali za to z góry już odszkodowanie w formie ceł krajowych tak wysokich, że prawie uniemożebniają dowóz. Podczas, gdy np. rosyjskie i austryackie cła na nader ważne wyroby żelazne i blacharskie podniesione zostały o 10—40 proc., niemieckie cło na te towary o 40—70 proc. Za zmniejszoną możność zarobków zagranicznych płacić będzie krajowy konsument, którego się, niby podatkiem, obłoży ogólną podwyżką cen, tem łatwiej że usunięcie obcego od współzawodnictwa da rychło początek kartelom i ringom, stwarzającym monopol związkom przedsiebiorców. Płacąc za wszystko drożej spożywca musi obniżyć swą stopę życiową, zmniejszyć ilość swych zakupów — realizuje ten sam zysk dla kapitalisty, ale daje mniejszą możność pracy robotnikowi a z nią i mniejszą odporność w walce ekonomicznej.

Niemcy wstąpiły do nowoczesnej wymiany międzynarodowej przy zupełnie innym układzie wewnętrznym i zewnętrznym sił oraz dążeń. Kapitał musiał tu najpierw stoczyć na własnych rynkach zajadłe boje z wrogiem, który się już rozgościł był na dobre, musiał się równocześnie bronić u siebie i napadać w dal idąc—i stąd jego kurs zygzakowaty, ciągłe wahanie się między żądaniem opieki a potrzebą swobody. Gdy kapitał pierwsze kroki stawiać się uczy, rolnictwo znajduje już zbyt na rynkach przemysłowych i walczy z nimi o wolność handlu, zarzucając samolubstwo i marnotę przemysłowcom krajowym. Hasła te same — wolny handel, cła ochronne, miały tu zatem w całym historycznym przebiegu inną treść gospodarczą i społeczną, niż w Anglii, a taką samą zdaje się mniejwięcej, jaką mieć będą na przyszłość w kolejnem dojrzewaniu do kapitalistycznej wytwórczości i fabrycznego przemysłu we wszystkich innych krajach. Czyni to rozwój polityki handlowej w Niemczech ze wszechmiar ciekawym i ważnym, nakazuje obecną jej fazę brać w rachubę przy stawianiu wszelkich wróżb gospodarczych i politycznych na przyszłość.

Dr. Helena Landau.

Ruchy rolne.

— Czytamy w *Warsz. Dniew.* w korespondencyi z Piotrkowa:

Włościanie z Żywocina, gminy Bogusławie, pow. piotrkowskiego d. 15 marca usiłowali zburzyć budynki w osadzie Luśniki majoratu Wasilewo, znajdującego się w administracyi skarbowej. Leśniczy leśnictwa skarbowego piotrkowskiego zawiadomił o tem naczelnika powiatu, który polecił zebrać oddział, złożony z 6 stróżów i 2 strażników ziemskich w celu dozorowania budowli. Tłum włościan w liczbie około 400 osób pobił dozorujących, budowle zburzył, materyały zaś zaniósł do domu.

Już przed kilku laty, włościanie powoływali się na swoje prawa do tej siedziby, w czem spotykali odmowę ze strony rządu gubernialnego piotrkowskiego do spraw włościańskich, następnie i od Senatu. Począwszy od sierpnia r. z. włościanie dopuszczali się na osadzie samowoli i przeszkadzali służbie leśnej w robotach rolnych. Grunty osady z tego powodu po dziś dzień leżały odłogiem. Władza wdrożyła śledztwo, a kilku głównych sprawców niepokojów będzie pociągniętych do odpowiedzialności sądowej.

Dnia 20 b. m. gromada, złożona z mieszkańców wsi, położonych w gminie Leszno, pow. piotrkowskiego, podążyła do lasu majorackiego i wywiozła stamtąd 40 fur drzewa. Delegowany na miejsce starszy pomocnik naczelnika powiatu Drozdow długo i cierpliwie przekładał włościanom, wyjaśniając rozmiary oczekujących ich odpowiedzialności, co nie poskutkowało i drzewo zostało wywiezione. Winni będą pociągnięci do odpowiedzialności.

— *Warsz. Dn.* podaje następujący opis zajścia dod Łaniętami w pow. kutnowskim:

„W d. 21 b. m. tłum strajkujących robotników dążył z pow. gostyńskiego do pow. kutnowskiego i we wsi Łanięta spotkał się z miejscowymi robotnikami rolnymi, również strajkującymi. Utworzył się w ten sposób tłum z 200 ludzi, który skierował się ku wsi Suchodębe, celem namówienia do bezrobocia pozostałych robotników w tym powiecie. Z Kutna pośpieszył z rotą żołnierzy naczelnik straży ziemskiej, kapitan Grib, spotkał ich tu, zeszedł z bryczki i począł namawiać do rozejścia się do domów.

„Włościanie, uzbrojeni w kije, nie słuchali przedstawiań kapitana Griba, który wzywał do rozejścia się, jeżeli nie dla swego dobra, to w imię obecnych w tłumie ich żon i dzieci.

„Po wyczerpaniu wszystkich środków przekonywających, kapitan Grib prosił dowódcę rotnego, ażeby wpłynął na włościan pogróżką, co ten wykonał, uprzedziwszy włościan, iż każe rozproszyć ich salwami. Gdy i te groźby nie zrobiły na tłumie najmniejszego wrażenia, dowódca kompanii rozkazał sygnaliście dać sygnał *trzykrotny*, uprzedzający o salwie, a gdy i ten sygnał nie doprowadził do żadnego rezultatu, żołnierze dali *pierwszą* salwę, tłum stał jednak w dalszym ciągu i dopiero po *drugiej* salwie włościanie rzucili się do ucieczki, pozostawiwszy zabitych i zmarłych od ran 11 ludzi (w tej liczbie 3 kobiety) i 10 ludzi ranionych, w tem 5 ludzi z pow. gostyńskiego."

Wybuchy.

Dnia 21 marca, jak pisze *Warsz. Dn.*, „o godzinie 3½ rzucono bombę pierwszą pomiędzy rozjazd złożony z 3 szeregowców żandarmeryi a patrol z 2 policyantów i 4 szeregowców pułku piechoty, przejeżdżających ul. Wolską. Siła wybuchu była tak wielka, że popękały szyby we wszystkich domach po obu stronach ulicy, a bruk na miejscu wybuchu zamienił się w proszek. Szeregowcy z patrolu, powaleni na ziemię, leżeli bez czucia; żandarmi mniej ucierpieli. Rannych przewieziono do szpitala wolskiego. Sprawcy wybuchu uszli.

„W dniu 26 marca podaje *Warsz. Dn.*, o godzinie 8 min. 5 wieczorem, do koszar policyjnych 12 cyrkułu na Pradze, gdzie znajdowało się 4 stójkowych i 2 osoby prywatne, wszedł nieznajomy młody człowiek i rzucił bombę. Rozległ się straszny wybuch. Okna powylatywały, jedna ze ścian zawaliła się. Ranni stójkowi: Biler, Sarap, Czeplejewicz i Mentliński, obie osoby prywatne i sam złoczyńca, który mimo to rzucił się do ucieczki.

„W ślad za nim puścił się stójkowy Czeplejewicz, strzelając doń z rewolweru. Złoczyńca wybiegł na podwórze, strzelając również z rewolweru i, powaliwszy Czeplejewicza strzałem, którym zadał mu ciężką ranę, skierował się ku bramie, tam jednak rzucił się nań pomocnik komisarza, sztabs kapitan Chwoszczyński, który wybiegł na odgłos wybuchu, rozbroił go i zatrzymał. Stójkowi Biler i Mentliński, oraz jedna z osób prywatnych—staruszek, ranni ciężko.

Jak się następnie okazało, wybuch na Pradze spowodowany był przez złoczyńców w tym celu, aby dokonać zbrodniczego zamachu na oberpolicmajstra barona K. S.

Nolkena, który na wiadomość o wypadku niezwłocznie wraz z pełniącym czasowo obowiązki wydziału ochrony rotmistrzem Szepelem, dwukonną dorożką udał się do 12 cyrkułu.

„Przy zjeździe na most Aleksandrowski, w odległości 15 sążni od żelaznego domku na Nowym Zjeździe, z pośród przechodzącej prawym chodnikiem publiczności jakiś nieznajomy złoczyńca rzucił bombę, która upadła pod prawe, tylne koło. Skutkiem wybuchu, który rozerwał dorożkę, baron Nolken raniony został w głowę, prawą rękę i prawą nogę. Rotmistrz Szepel obrażeń nie doznał, został jednak ogłuszony. Nadto raniona została przechodząca Nowym Zjazdem kobieta. Konie upadły ciężko poranione. Woznica nieuszkodzony.

„Złoczyńca rzucił się do ucieczki, ścigany przez stójkowego, Gawryłowa. Zrazu puścił się na plac Zamkowy, poczem skręcił ostro na Marjensztad, zbiegł na ul. Sowią, powalił tam na miejscu dwoma wystrzałami stójkowego Gawryłowa i uciekł, sam widocznie ranny podczas pościgu.

„Baron Nolken odwieziony został przez rotmistrza Szepela do mieszkania, gdzie mu udzielono pomocy lekarskiej. Stan zdrowia jego ciężki, nie budzi jednak obawy.

„Siła wybuchu była tak wielka, że prąd powietrza wybił kilka szyb w domach sąsiednich".

Sprawca zamachu w cyrkule, z początku ukrywał swoje nazwisko, został jednak poznany, jest to syn włościanina, ze wsi Hipolitów pow. nowomińskiego, gub. warszawskiej, Stefan Aleksander Okszeja, robotnik, w wieku lat 19.

Życie publiczne w Rosyi.

Kuzmin-Korowajew w obszernej rozprawie p. t. „Zasady przedstawicielstwa wszechnarodowego w Rosyi" drukowanej w *Rusi* uważa wprowadzenie Najwyższego reskryptu w życie za sprawę najważniejszą. Dla jak najszybszego zwołania soboru radzi on skorzystać z organizacyi ziemskich i miejskich, rozszerzywszy je i dawszy do nich dostęp nowym członkom. Co się tyczy inoplemieńców i prowincyj nieposiadających ziemstw mówi:

„Trzydzieści cztery gubernie (ziemskie) stanowią tylko jedną część Rosyi, pod względem terytoryalnym—niewielką. Kresy są różnorodne. Olbrzymia Syberya, Królestwo Polskie, gubernie zachodnie, nadbałtyckie, północne i wschodnie, Kaukaz, posiadłości środkowoazyatyckie i terytorya wojsk kozackich. To są obszary, nieposiadające ziemstw. W obwodach kozackich istnieje dla ludności rdzennej osobna organizacya, oparta na silnej tradycyi historycznej. Jest to swego rodzaju samorząd, usuwający różność stanową i nawet ekonomiczną.

„Inne zaś kresy tak się różnią, że żadnego dla nich szablonu stworzyć nie można. Polacy, Litwini, Ormianie, Niemcy, Gruzini, Żydzi itd., nie mówiąc już o obcoplemieńcach niekulturalnych, przyjdą do ogólno-rosyjskiego przedstawicielstwa narodowego ze swojemi specyalnemi sprawami i potrzebami. Również Rosyanie, z pochodzenia Sybiracy, mieszkańcy Kaukazu i posiadłości środkowo-azyatyckich przyjdą ze sprawami i potrzebami miejscowemi. Jest to nieuniknione. Położenie kresów, szczególnie zaludnionych przez inoplemieńców, tak dalece jest wyjątkowe, że ściśle objektywnego traktowania spraw ogólno państwowych przez ich przedstawicieli spodziewać się nie można. Każdą kwestyę będą oni oceniali ze stanowiska interesów narodowych, religijnych lub miejscowych, przyczem dla każdej narodowości, każdego wyznania, każdej dzielnicy będą to potrzeby odmienne.

Dla Polaka, Żyda, Ormianina główne znaczenie ma nie ustrój państwowy, ale kwestye języka, ograniczeń narodowych i wyznaniowych. U siebie w domu, w Królestwie Polskiem Polak będzie zarobkodawcą lub robotnikiem, szlachcicem lub włościaninem, arystokratą lub demokratą. W rządzie ogólno-rosyjskim będzie on mówił, myślał, jak Polak.

Dla wyboru przedstawicieli ludność kresowa powinna się grupować według narodowości".

Ruś pisze:

„Nastają czasy pełne znaczenia. Polacy, zwracając się do rządu ze swemi oświadczeniami, śpieszą rozgłosić je wśród narodu rosyjskiego, dążą do porozumienia się z jego przedstawicielami. Gruzini, Litwini, Tatarzy—podając swe memoryały władzom, dążą do opublikowania ich w prasie rosyjskiej, by uzyskać poparcie moralne ze strony społeczeństwa, narodu rosyjskiego.

Znaną jest rzeczą, jak to my lubimy się chwalić, iż jesteśmy narodem sto trzydziesto, ba! nawet sto pięćdziesięcio milionowym. Tymczasem gazety nasze wydajemy, obliczając ich nakład zaledwie na 90 do 100 milionów—pozostałe bowiem 40 milionów to są nasi inoplemieńcy. Dotychczas patrzyliśmy zwykle na nich, jak na odszczepieńców — w najlepszym razie z gestem zupełnego zwątpienia—częściej jeszcze, miotając obelgi i oszczerstwa bezapelacyjne, bo oni się bronić nie mogli.

Otóż, jeżeli prasa rosyjska w dalszym ciągu będzie trwała przy tradycyjnej idei wrogiego odsunięcia się od inoplemieńców, to czego my mamy spodziewać się po spotkaniu z ich przedstawicielami na soborze? W najlepszym wypadku wieży Babel i pomieszania języków—czyż nie tak?

I oto zaraz na wstępie spotkamy się z wybuchem wyhodowanych przez lata uczuć: obojętności, niewiary, nienawiści ku nam, Rosyanom, ku ogólnym potrzebom państwowym, rosyjskim. Te właśnie uczucia, wspólne wszystkim naszym inoplemieńcom, połączą ich przeciw nam w związek naturalny. Wreszcie, pomijając sobór ziemski, podczas chwil klęski, jakie nas pewno również w przyszłości czekają, nienawidzący nas inoplemieńcy poczną się łączyć przeciw nam, podając sobie ręce przez morza i góry, jak to, np. czynią Bułgarzy macedońscy i Ormianie w Azyi Mniejszej przeciw swym władcom.

A czy jest sens wogóle w tem podtrzymywaniu wiecznego wrzenia wrogich i pozbawionych ujścia namiętności? Czyż nie jest lepiej zawczasu zburzyć sztuczne tamy? Najbardziej naturalnym upustem może tu być jawność. Pozwólmyż — niechaj się nasi inoplemienni współobywatele wypowiedzą głośno, niechaj się wypłaczą. Słuchajmy ich pilnie i ze współczuciem. Podsycmy te skry zaufania, jakie się już przejawiać poczynają. Niechajże oni poznają naród rosyjski w lepszych przejawach jego duszy. My pragniemy, by nasi obywatele inoplemienni przyszli na sobór rosyjski z zaufaniem, jak na współobywateli jednego, obejmującego wszystko, Cesarstwa przystało, a nie jako oderwane od niego cząstki przez nienawiść wewnętrzną, tajoną... i mamy nadzieję, że to się tak stanie."

W *Nowostiach* czytamy następujący artykuł p. Engelhardta:

„Przeżywamy epokę bicia inteligencyi,—inteligencyi wogóle, obojej płci i wszelkiego wieku mężczyzn, kobiet, starców, młodzieży, dzieci... W Mohylowie zabierają do policyi przeszło pięćdziesięciu ludzi spacerujących, biją ich, kaleczą, tratują nogami itd. następnie wyrzucają precz. W Kursku biją, kaleczą tłumy dzieci. W Kazaniu biją przeszło 60-u studentów. W Pskowie biją dzieci, w Saratowie gimnazistów, w Samarze — dziennikarzy. We wszystkich miastach codzień biją pojedyńcze osoby: od 8 lat wieku (w Wołogdzie). Policya w tych wypadkach albo jest nieobecna albo obecna, ale neutralna lub nawet pomaga bić (w Kazaniu) wreszcie organizuje pogrom (Kursk, Niżnyj Nowgorod, Mohylów i inne).

Ponieważ bijący nie są pociągani do odpowiedzialności i nie są karani (podlegają odpowiedzialności i ponoszą kary tylko pokrzywdzeni, za opór bijącym) — więc bicie stopniowo rozszerza się i potęguje. Jest to całkiem zrozumiałe i naturalne: nie napotykając przeszkód, ruch ten powinien wzrastać i dojść nareszcie do końca. Tym końcem, — według szczerych słów Gringmutów, Certelewów, Pawłowów, Bodisków i innych geniuszów („wdochnowitieli") czerni („czornej sotni"), musi być zupełna zagłada inteligencyi rosyjskiej. *Mosk. Wied.* określają ten cel zupełnie jasno.

Rozumie się, „straszny jest sen, ale miłościwy Bóg"; z drugiej jednak strony—dlaczegożby się nie mógł urzeczywistnić ten cel? W każdym razie wątpliwe, czy ze strony inteligencyi można się spodziewać oporu. My, inteligencya rosyjska—nie jesteśmy do tego zdolni. Na pobicie możemy odpowiedzieć tylko śmiesznymi „protestami", „oświadczeniami", żądaniami skazania, sądu itd., co tylko bawi ochronicieli; wreszcie obietnicami samoobrony, które pozostają tylko obietnicami. Kurska, mohylowska i wszelkie inne „historye" wykazały to jasno.

Oczywiście w takich warunkach dla człowieka inteligentnego, który nie należy do towarzystwa ochronicieli i „działających swobodnie", nie trudni się donosicielstwem, oszczerstwem, szpiegostwem, prowokatorstwem, nie ma za sobą żadnej podłości, która dawałaby mu prawo do tytułu wrzekomo „prawdziwie rosyjskiego obywatela dobrej woli", — rozumie się, że dla takiego człowieka inteligentnego wszelkie kwestye ważne i nieważne ustępują miejsca jednemu pytaniu: czyja teraz kolej być bitym, pokaleczonym lub zabitym? Czyim dzieciom łamane będą żebra, wybijane oczy, rozbijane nosy?

Śledząc doniesienia pism, można z pewnem prawdopodobieństwem wytknąć punkty niewątpliwego „tryumfu ochronicieli" w niedalekiej przyszłości.

Chcę tutaj zwrócić uwagę czytelników na jeden z takich punktów: W *Penzen. Gub. Wied.* ukaz Najwyższy do senatu wydrukowano z opuszczeniem słów następujących: „*nadsyłanych na Nasze Imię od osób prywatnych i instytucyj*,—słów, w których się zawiera cała treść ukazu. Reskrypt zaś o zwołaniu przedstawicieli narodu wydrukowano z taką masą omyłek, że niemożliwe jest doszukanie się sensu. Stąd można wnosić, że akty, które wywierają wpływ uspokajający, nie są uznawane przez suwerenów penzeńskich. Za to w tych samych *Gubern. Wied.* już bez omyłek i z zupełnym rozmysłem drukowane są doniesienia o przekupywaniu inteligencyi i robotników przez Japończyków i wezwanie ażeby powstać, jak jeden mąż i *wyrwać chwasty z korzeniami*, otrząsnąć się jak podczas „pugaczowszczyzny".

Jednocześnie krążą po mieście pogłoski o przygotowywanem biciu inteligencyi i młodzieży kształcącej się i niema danych do przypuszczenia, ażeby to pobicie nie urzeczywistniło się zwłaszcza, że w urzędowych *Wiedom.* drukowane są wezwania sił nie do bicia, ale do zgładzenia („wyrwać z korzeniami chwasty").

To zbicie, czyli „wyrywanie chwastów" będzie ułatwione w danym wypadku zapomocą środków, które zastosowano dlatego, ażeby „chwasty" nie mogły się bronić. Mianowicie według doniesienia *Rusi*; „w obawie, ażeby obywatele nie zaczęli zdobywać środków obrony przed bohaterami rozpraw przejściowych, w mieście zabroniono kupowania, lub noszenia jakiejkolwiek broni.

Now. Wremia pisze:

„Stan naszych spraw szkolnych jest taki, że chociaż nie wszyscy mówią głośno, ale czują, miejscami zaś mówią, iż ministeryum oświaty jest instytucyą napół zniesioną, likwidującą

się. Jedyny twardy w nim kamień—to pobieranie pensyi. Kasyerzy liczą, urzędnicy otrzymują, naród płaci...

Rozumie się nic podobnego nigdy nie było nietylko w tem ministeryum, ale we wszystkich innych, od samego początku ich istnienia.

Zbieramy owoce przeszłości. Prawie przez trzydzieści lat ministeryum oświaty nie pozwalało się odezwać ani społeczeństwu, ani nauczycielom, ani rodzicom, ani uczonym akademikom i profesorom w sprawach szkolnych, nawet najdrobniejszych, o nadmiernej ilości godzin łaciny albo języka rosyjskiego w programie gimnazyalnym. Teraz wszelkie programy wcale nie są wykonywane, ministeryum milczy. Trzydzieści lat w żółtym gmachu koło mostu Czernyszewa odbywali posiedzenia jacyś magowie, którzy nigdy się nie pokazywali w Rosyi, a wszystko o Rosyi wiedzieli, którzy pisali cyrkularze „dla wykonania", z nikim się nie naradzając i nie dopuszczając żadnego głosu do siebie."

Rusk. Słowo donosi:

„6 marca miało się odbyć w Petersburgu zebranie dziennikarzy i literatów w celu rozważenia zagadnień, związanych z Najwyższym Reskryptem z dnia 18 lutego (st. st.).

W przeddzień zebrania prezes kasy literatów, p. Weinberg wraz z kilku kolegami czynił zabiegi, by posiedzenie mogło się odbyć w gmachu szkoły Teniszewskiej. Naczelnik miasta oświadczył jednak, że Ukaz zezwala na podawanie próśb tylko przez pojedyncze osoby prywatne; w żadnym zaś wypadku nie ustanawia on prawa na zwoływanie zebrań oraz gromadne rozważanie treści podawanych oświadczeń. Wobec tego zebranie dziennikarzy zostało wzbronione. Zarazem naczelnik uczynił obietnicę, że zezwoli na zebranie się organizatorów związku literatów, jednakże w ilości nieprzekraczającej 30 osób, oraz pod warunkiem, żeby się zebranie zajmowało wyłącznie tylko sprawą ponownego otwarcia związku pomienionego".

Jak donosi gazeta *Zapadnyj Wiestnik*, mińskie T-wo rolnicze przyjęło na posiedzeniu d. (8) 20 marca uchwałę następującą:

„Pierwszy i konieczny warunek rozwoju ekonomicznego i kulturalnego wielomilionowej ludności kraju Północno-Zachodniego stanowią: zniesienie wszystkich praw i rozporządzeń ochronnych i ograniczających; odwołanie Ukazu z d. 10 grudnia r. 1865 wraz ze wszystkiemi rozporządzeniami dalszemi, wypływającemi z tegoż; wprowadzenie instytucyi ziemskich, opartych na zasadach wyborczych; wprowadzenie powszechnego nauczania; nadanie prawa nauki w języku ojczystym oraz zniesienie kastowości stanowej i opieki administracyjnopolicyjnej, powstrzymującej rozwój kulturalnoekonomiczny włościan, tej najliczniejszej części ludności".

Gazeta *Birż. Wied.* donosi:

„Dnia (6) 19 marca odbyło się w Rydze na przedmieściu Lindepru zebranie, w którem brało udział kilka tysięcy robotników.

Podobne zebranie miało miejsce nazajutrz na przedmieściu Mitawskiem, w lesie. Miejsce, w którem się zebrano, było otoczone drutem kolczastym. Oba zebrania zostały przez siłę zbrojną rozpędzone.

Podczas wyjazdu z Rygi d. 20 marca członków petersburskiej izby sądowej, którzy sądzili sprawy polityczne, zebrał się na linii kolejowej ogromny tłum, składający się głównie z młodzieży szkolnej.

Padły wystrzały — zraniono przytem ciężko jednego stójkowego, jeden z oficyalistów kolejowych otrzymał pchnięcie nożem".

Nowosti przytoczyły następującą wiadomość zaczerpniętą z *Neue Freie Presse*:

„Na ostatniem posiedzeniu Rady wojennej generał Dragomirow wygłosił długą mowę, w której dowodził, iż kierownicy działu wojennego od początku zepsuli wszystko, wyprawiwszy na teatr wojny żołnierzy rezerwy, nie zaś wojska w zupełności gotowe do boju. Przedewszystkiem należało wysłać całą gwardyę. Na zapytanie ministra Dworu, ktoby w takim razie bronił Petersburga, gen. Dragomirow odpowiedział, że uśmierzanie rozbójników i rabusiów, nie należy do obowiązków gwardyi. Gwardya powinna przodować na wojnie wszystkim wojskom Cesarskim i dawać im przykład—to stanowi jej obowiązek. Ciężka kawalerya, stanowiąca pułk gwardyi konnej, mogłaby również okazać się pożyteczną, jako załoga zdobytych miast.

Gwardyę, grenadyerów, korpusy kaukaskie i turkestańskie—mówił generał—należy wysyłać na plac boju.

Pozatem gen. Dragomirow wykazywał konieczność zamianowania wodzem naczelnym jednego z Wielkich Książąt i przemiany sztabu generalnego z instytucyi biurokratycznej na rzeczywisty organ wykonawczy, zdolny do wypełniania rozkazów wodza naczelnego."

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Gubernatorowie, naczelnicy miast i oberpolicmajstrowie otrzymali rozporządzenie ministeryum spraw wewnętrznych zaniechania wszelkich ograniczeń religijnych, zwolnienia od nadzoru i uwolnienia z więzień wszystkich skazanych za sprawy religijne.

— Według doniesień pism petersburskich przy ministeryum skarbu ma być utworzona osobna komisya, w celu rozpatrzenia istniejących ustaw i przepisów o prawach i obowiązkach inspekcyi fabrycznej. Proponują zaprowadzenie inspektorek fabrycznych i kobiecej pomocy lekarskiej dla robotnic.

— *Pet. Wied.* i inne dzienniki rosyjskie podają z gazet zagranicznych wiadomość, że w Paryżu odbył się pod honorową prezydencyą Jerzego Brandesa i pod kierunkiem znanego radykała francuskiego senatora Clemenceau, międzynarodowy kongres przyjaciół Polski. Do składu komitetu, urządzającego kongres, należeli między innymi: Eugeniusz Fournier, Anatol France, Octave Mirbeau, były prezydent republiki hiszpańskiej Salmeron, pani Séverine, profesor Karol Seignobos i Gabryel Séailles, rzymski uczony Sergi, włoski radykał Pietro Mazzini, belgijski socyalista dep. Vandervelde, poeta Emil Verhaeren i inni.

— Dnia 25 i 26 marca odbywały się narady przedstawicieli zarządu kolei nadwiślańskich i delegatów ogółu pracowników nad sprawami polepszenia bytu tych ostatnich. Wyznaczono 7 podkomisyj z 15 przedstawicielami w każdej, które zajmować się będą: 1) tworzeniem szkół i kształceniem dzieci pracowników kolejowych; 2) normą pracy; 3) pomocą lekarską; 4) karami i uwolnieniami ze służby oraz o sądzie koleżeńskim; 5) o ulepszeniu regularniejszego wypłacania pensyi i dyet; 6) sprawami ogólnemi. Zrównaniem praw pracy kobiet, służących na kolejach, i wogóle sprawami, zawartemi w §§ 23 i 24 memoryału, wręczonego dyrektorowi przez delegatów; 7) losem maszynistów kolejowych. Nic stanowczego jeszcze nie uchwalono. Podkomisye mają się zbierać co tydzień.

— II zjazd abstynentów polskich urządza krakowski oddział Tow. „Eleuterya" w Krakowie w dniach 3 i 4 czerwca b. r. Komitet wykonawczy powołał do współudziału przedstawicieli wszystkich stowarzyszeń, opartych na zasadzie zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych, chcąc, aby nietylko Galicya, ale również i Królestwo, Poznańskie i Śląsk wystąpiły zgodnie w tej manifestacyi kulturalnej. Wszelkie korespondencye adresować należy: Dr Zofia Daszyńska-Golińska, przewodnicząca komitetu, Kraków, ul. Felicyanek 27.

— Żydowskie Tow. ochrony kobiet otworzyło biuro pośrednictwa pracy dla kobiet, Twarda 6. Biuro poleca pracownice wszelkich zajęć: nauczycielki, korespondentki, buchalterki, bony, gospodynie, dozorczynie chorych, modniarki, sklepowe, szwaczki, krawcowe, hafciarki, służące itd. Zadaniem biura jest jaknajsumienniejsze sprawdzanie wiarogodności świadectw, osób polecanych, oraz dostarczanie poszukującym pracy, zajęć odpowiednich i pewnych. Poszukujący pracy za pośrednictwo nie płacą. Pracodawcy płacą 2% od pensyi rocznej w odziale nauczycielskim i handlowym, cenę godziny za lekcye na godziny, 15 kop. od rubla pensyi miesięcznej służących i gospodyń. Za szwaczki, krawcowe, hafciarki zapłaty żadnej się nie wnosi. Biuro otwarte codziennie od 9–2; od 6—8-ej wieczór z wyjątkiem dni sobotnich i świątecznych.

Bezrobocia. Według wiadomości otrzymanych z zarządu górniczego wszystkie kopalnie pomniejsze w zagłębiu dąbrowskiem przystąpiły do pracy z wyjątkiem wielkich, a mianowicie Tow. francusko-rosyjskiego, francusko-włoskiego i Sosnowickiego. Produkcya tych kopalni stanowi prawie połowę ogólnej produkcyi całego zagłębia. W celu zbadania przyczyn tak długiej bezczynności wyjeżdża do Sosnowca naczelnik zachodniego okręgu górniczego, inż. Dmitrjewski.

Zmarli. Walery Eliasz Radzikowski, artysta-malarz, urodzony w Krakowie, twórca „Czarneckiego" i „Sobieskiego pod Wiedniem," wielki znawca i miłośnik Tatr, które w rysunkach spopularyzował za granicą, gorliwy współpracownik komisyi historyi sztuki Akademii Umiejętności, czynny członek Tow. szkoły ludowej i Rady nadzorczej Muzeum Rapperswylskiego. Zmarł w Krakowie.

— Juliusz Verne, urodzony w Nantes we Francyi, twórca romansu przyrodniczego, łączący z niesłychaną fantazyą głęboką wiedzą ścisłą, której ogromem zdumiewa. Niema człowieka, któryby nie czytał jego „Podróży do środka ziemi," „Dwadzieścia tysięcy mil pod powierzchnią morza", „Z ziemi na księżyc" itd. Zmarł w Amiens, w wieku lat 77.

Odpowiedzi Redakcyi.

Samoukowi. Dziękujemy serdecznie za wiadomości o sobie. Możemy tylko zachęcać do dalszej pracy w tym kierunku. Powtórne wydania książek, o które pan zapytywał, dotąd nie są zapowiedziane. Sądzimy, że Heackla i Miecznikowa mógłby pan czytać nie odkładając na później. Redakcya „Poradnika" chętnie służyć panu będzie dalszemi wskazówkami.

„K. 444". Sonet nie do druku.

OFIARY.

Dla pozbawionych pracy wskutek strajku.

Zofia i Antoni Jackiewiczowi rb. 2.

Na ofiary strajku.

Janina Zaleska zebrane w Żytomierzu rb. 65.

Do numeru 11 dołączony był dodatek kwartalny, I-szy zeszyt dzieła J. M. Baldwina „Życie społeczne i moralne."

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 17 Марта 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.